**Nr. 8.** **24. Kwietnia** **1860.**

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

# KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

## ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

**Zygmunta Kaczkowskiego.**

(Ciąg dalszy).

Sprawiwszy ojcu pogrzeb odpowiedni jego wysokiej godności, na który się całe Województwo zjechało, i uspokoiwszy się w chrześcijańskiej pokorze po jego śmierci: Bernard znalazł się w położeniu dość przykrem. Konfederacya barska nadwerężyła bardzo ich rodzinny majątek, wyczerpnęła wszystkie pieniężne i gospodarskie zapasy, a nadto jeszcze obciążyła Grodowiska znacznemi długami. Ś. p. ojciec jego, człowiek bardzo oględny i gospodarny przez całe życie, uniesiony w ostatnich czasach gorącą miłością ojczyzny, stracił był wszelką oględność i nietylko że pozaciągał długi takie, którym przysłużała hipoteczna oblata, lecz nadto pozadłużał się jeszcze u żydów. Kiedy Bernard te wszystkie długi policzył, przekonał się, iż przenosiły one połowę wartości Grodowisk. Popłacić je z intrat, prawie nie było sposobu; a jakiejkolwiek innej pomocy ani mógł się spodziewać. Kraj był podówczas niesłychanie zniszczony, żadnego handlu, żadnego kredytu, stąd wartość wsi bardzo niska — a teraz jeszcze o tyle niższa, o ile je zaczęły obciążać coraz-to nowe podatki. Dość, że bardzo źle było około Bernarda: Grodowiska były w największem niebezpieczeństwie. Myśl o tem, że je może utracić, przejmowała go niewymowną boleścią. Nie chodziło mu przytem o materyalne korzyści, o posiadanie, znaczenie, wygody życia. Eh! cóż tam tych parę folwarków! Młody był jeszcze, miał dopiero lat trzydzieści, był zdrów i krzepki, był półkownikiem, świat był szeroki, ludzi na nim niewiele: ażaliż trudno mu się było na nim pomieścić i zasługą a pracą zdobyć choćby i dziesięć folwarków? — Ale Grodowiska były już przeszło półczwarta wieku w posiadaniu jego praojców, oni je założyli, zabudowali, przyozdobili, kości tam swoje złożyli: i ta praca, te żywe dzieje, ten grób, ten panteon jego rodziny, miał dopiero za jego życia wyjść z jego imienia? i on, wierny ich syn, z ich kości kość, ze krwi ich krew, miał pójść i poniewierać się po cudzych służbach i cudzych zagonach? — Niedawno temu stracił swoją wielką ojczyznę, po niej została mu druga mniejsza ojczyzna a nią były Grodowiska: po stracie tamtej, miałże i tę jeszcze utracić? — Bernard rozmyślał nad tem bardzo boleśnie. A w końcu tak postanowił: — Nie ustąpię do ostatniego oddechu. Będę pracował ze wszystkich sił: Bóg niechaj rządzi, ja wypełnię swój obowiązek.

Jąwszy się z natężeniem poczciwej pracy, zaraz był lepszej myśli. Nie miał jeszcze pewnych widoków, że się wyratuje, ale już wtedy tak sobie mówił: — Zacniejszym wierzycielom przecie się jakoś do czasu wyproszę, mniej litościwych będę spłacał po trochu: a tak kiedy obaczą, że pracuję i płacę, że płacę długi takie, o które-bym się mógł procesować, że płacę kartki ojcowskie, których-bym mógł całkiem nie spłacić; przecie mnie uszanują i będą mieli cierpliwość. — I tak się stało. Zacni byli ludzie na świecie i umieli zacność szanować. Bernard pracował i spokój miał w pracy.

W spokoju serca przyszła mu myśl jeszcze inna. Widział, że ludzie się żenią; dlaczegóż-by i on nie miał się ożenić? Widział, że przez ożenienie się jakokolwiek ratują; dlaczegoż-by i on nie miał się tak ożenić, ażeby się poratował? — Żenienie się dla posagu jest brzydkie, jest plugawe, jest-to brud społeczeństwa; ale ożenienie się rostropne chwaliło się zawsze i słusznie. Ożenienie się takie było daleko łatwiejszem wtenczas, niż dzisiaj. Przychodziło ono zazwyczaj prawie samo ze siebie. Albowiem wtenczas, już wprawdzie możnowładztwo upadło a nawet i starodawne szlachectwo pod naciskiem nowych splendorów zaczęło się mięszać z żywiołami rozmaitego znaczenia; nazwiska, o których ani Paprocki ani Okólski, ani nawet Niesiecki, nie wiedzą, zaczęły wypływać pomału na jaw i okrywać się splendorami: ale pomimo to jeszcze się nowożytna arystokracya nie rozsiadła w opinii publicznej narodu. Arystokracyi tej, która się wiąże z ludźmi jakichkolwiek splendorów, byle-by przy nich były pieniądze, jeszcze naówczas nie znano. Społeczeństwo było jeszcze wedle starego zwyczaju podzielone na stany, pomiędzy któremi, oprócz wiejskiego ludu i mieszczan, rozróżniano najpierw magnatów, potem domy senatorskie, dalej szlachtę herbowną i dobrze osiadłą, a wreszcie szlachectwo drobne. Każdy stan taki żenił się zwykle tylko u siebie. Przy kojarzeniu małżeństwa uważano na ród, a przytem na osobiste przymioty; większa lub mniejsza fortuna bywała zwykle rzeczą podrzędna.

Wierzono bowiem w szczęście zbudowane na cnocie i w Łaskę cnoty u Pana Boga; więc kiedy dobrana para dawała rękojmię cnót domowych i obywatelskich, nikt o tem nie wątpił, że tam ni szczęścia, ni chleba nie braknie. I z Bożej woli nie brakowało nigdy obojga....

Z tego względu miał Bernard wcale niezłe widoki przed sobą. Był młody i piękny. Wysoki wzrostem, jasne miał włosy, duże błękitne oczy, nos orli, wąs piękny i gładki, jak Polakowi przystało. Był wychowany starannie, umiał kilka języków, piękną miał swadę i obyczaje polerowne i gładkie. Pochodził z starożytnego rodu, zacnego gniazda, był Kasztelanicem, ba! nawet i sam już nieobojętne położył zasługi około ojczyzny, a w domu okazał się zacnym, prawym i szanującym cienie swych ojców. Mógł się tedy ożenić w jakim domu kasztelańskim z łatwością. W domu takim znalazł-by się i posag — a jeżeli-by go nie było przy ślubie, to-by się pomoc znalazła, która częstokroć więcej jest warta niż posag. Zaczął się tedy wychylać z domu, szukając żony. Ale jeździł w Ruś i w Podole, w Krakowskie i na Mazury — i nic nie wynalazł. Chwalono go wszędzie i kochano; ale tu mu się panna nie podobała, tam znowu on pannie się nie podobał, a kędy indziej krzywiono się nawet na niego za to, że hrabią nie został. Nie należy dziwić się temu, albowiem wtenczas już się zaczęło ludziom po trochę przewracać w głowie. Takie niepowodzenie smuciło trochę Bernarda a nie miał, czemby się pocieszył. Zapomniał wszakże o starem przysłowiu: — Kraść daleko a żenić się blisko. Doskonałe to jest przysłowie. Gdyby był o niem pamiętał, może-by się był jeszcze za życia ojca ożenił....

Albowiem o granicę od niego leżał majątek, tej samej objętości co Grodowiska, a zwał się Starodzięki. Ale był to majątek dwakroć i trzykroć intratniejszy i lepszy. Leżał nad brzegiem rzeki, więc miał grunt wcale wyborny a oprócz tego las miał dębowy i trzysta morgów łąk na porzeczu. Dęby to grosz gotowy a łąki w tych stronach to wielki skarb dla gospodarza. Z tego względu Starodzięki zwracały już i pod owe czasy powszechną na siebie uwagę i uchodziły nie za szlachecką ale za pańską fortunę.

Tymczasem właścicielem tego majątku był szlachcic taki, jakich jest w Polsce tysiące. Nazywał się Tobiasz Wapnowski, z starożytnego pochodził rodu, miał też i kolligacye; ale był skromny i cichy nad podziw. Niskiego był wzrostu, chuderlawy, rudawy, już szpakowaty, chorowity cokolwiek, ale dosyć ruchliwy i żywy. Za czasów najlepszych i najweselszych mało gdzie się wychylał z domu. Żołnierzem nie był, sejmików i kondescencyi nie lubił, zjazdów szlacheckich unikał, i ledwie że się dał czasem do kompromisu uprosić: lecz mimo to bardzo pięknie służył ojczyźnie a jeszcze piękniej cierpiącej się wysługiwał ludzkości. Konfederacya barska miała w nim jakby swego furyera: co stamtąd ludzi, co koni, co gotowych pieniędzy odebrał w darze sam pan Puławski, Bierzyński i Sawa, tego-by nikt nie policzył. Prócz tego przez cały czas wojny konfederackiej Starodzięki były ciągłym szpitalem. Był na to osobny odstawiony budynek, w którym często po kilkadziesiąt rannych leżało. I ażeby się tam dostać, nie koniecznie trzeba było być konfederatem, ani nawet Polakiem, dość było być człowiekiem. Po każdej bitwie w tych stronach stoczonej pan Skarbnik sam jeździł na pobojowisko i zabierał ze sobą każdego, ktokolwiek z zbolałej piersi ludzkim do niego odezwał się jękiem. Tak w jego szpitalu leżał Polak obok Moskala, Katolik obok Kalwina, Mazur obok Kałmuka lub Kabardyńca. Pielęgnowała ich sama pani Skarbnikowa, która jeszcze żyła natenczas, ze swoją najstarszą córeczką Salusią: ale i Skarbnik sam po kilka razy na dzień odwiedzał chorych a przechodząc się między tapczany, z założonemi na krzyżach rękami i głową spuszczoną ku ziemi, jako miał zwyczaj, powtarzał chorym w każdej izdebce: — Kochajcie się ludzie i pomagajcie sobie nawzajem, jako Pan Bóg przykazał: kiedy się kochać będziecie i sobie pomagać, to wam Bóg da, że i wojen nie będzie. — Mieli też ci nieszczęśliwi pielęgnowanie staranne, był przy nich felczer, była apteka, był i kapłan pod ręką, zgoła wszelka możliwa pomoc i pociecha duchowna. Jakoż niemało ludzi, którzy-by byli marną zginęli śmiercią na pobojowiskach, po lasach albo po chatach wieśniaczych, tam poprzychodzili do zdrowia i ściskając kolana swojego dobrodzieja, wesoło powracali do domów. Inni, których nieodzowne doścignęły wyroki, umierali przynajmniej z błogosławieństwem Bożem — i prawie zawsze się to zdarzało, że umierający kalwin albo syzmatyk, widząc ile we wierze katolickiej jest miłosierdzia dla cierpiącej ludzkości, rewokował swe błędy i oddawał Bogu duszę oczyszczoną z grzechów zupełnie. Dlatego też Skarbnik odznaczył dla tych nieszczęsnych osobny kawałek ziemi i kazał ich grzebać razem jeden przy drugim, stawiając każdemu krzyżyk z napisem jego nazwiska. Jakkolwiek krzyże te popruchniały za czasem i nic zostawiły śladu po sobie, cmętarzyk ten jednak widać do dziś dnia i pokaże go każde dziecko w Starodziękach, nazywając »konfederackim pogrzebem«. —

Takim był przyjacielem ludzkości pan Tobiasz. Ale nie dosyć na tem. Udzielając się obcym, nie zapominał także o swoich. Żołnierzem nie był, sejmiki mijał, zjazdów nie frekwentował ani ich przyjmował u siebie: byli też ludzie, którzy go ani z twarzy nie znali; ale byli to tylko ludzie szczęśliwi. Mało kto z nieszczęśliwych, któryby go nie znał. Gdziekolwiek bowiem pojawiło się jakie nieszczęście, daleko czy blisko, proszony czy nieproszony, zawsze się tam zjawiał pan Tobiasz. Zgorzał kto, stracił sprzęty, dobytki i inwentarze; jeszcze się jego zgliszcza dymiły: jadą już fury od pana Tobiasza z mąką, z omastą i zbożem, a za niemi kilka krów pięknych i woły i konie. Zachorował który z sąsiadów, nie mógł się trudnić sam gospodarstwem, marniała jego fortuna: jest już pan To-

biasz, obima rządy, dyspozycye wydaje i często z własnej szkatuły czyni potrzebne nakłady. Została się po kim sierota, nie miała się kędy przytulić: pan Tobiasz już ją przywiózł do siebie, opiekował się nią jak ojciec, wychowywał swym kosztem i potem żenił albo wydawał za mąż, poczciwe jej wyprawiając wesele. Przychodził potem taki poratowany do niego, dziękował za dobrodziejstwa: on nigdy podziękowania nie przyjął, odpowiadając: — Nie dziękuj mi, panie bracie, a dziękuj Bogu, bo to jego robota; i nie oddawaj mi tego, jeżeli łaska, Bóg mi to odda sowicie. —

Widząc go tak hojnym, dziwili się nieraz sąsiedzi, skąd-by brał na to dostatków? — a tymczasem przypływały one same do niego. Majątek jego, jak się już powiedziało powyżej, był sam ze siebie bardzo intratnym; a oprócz tego, jakiż-to był z niego gospodarz! Jego ziemie orne były tak wyprawione i znawożone, że się czerniły jak aksamit do słońca, łąki wszystkie poprzerzynane rowami, lasy pookopywane i pielęgnowane jak najpiękniejsze ogrody. Gospodarskie budynki zamurowane jak miasto, stodoły jak kościoły, stajnie jako koszary, gorzelnia jak ratusz a browar przy niej i sytnia miodu jak klasztor. A wszystko to z muru i pod dachówką, jak w mieście. W tych stajniach bydła tyrolskie, konie ogromne jak fryzy, owce cienko-wełniste, a wszystko krągłe, wesołe i żwawe, jak nigdzie. Za gospodarskiemi budynkami ciągnęły się sady wielkie jak lasy a pasieka jak wioska. A tymczasem pomiędzy tem wszystkiem, tak wspaniałem i sutem, jego domek mieszkalny siedział jak grzybek przy ziemi. Wybudowany był z drzewa, dosyć obszerny i czysty, ale skromniutki, cichutki i przygarbiony, jako on sam. Koło niego maleńki wirydarz na kwiatki, maleńki murek z brzoskwiniami przy sobie, kilka okienek na lepsze włoszczyzny, sadzaweczka na rybki: ot! i już wszystko. W tym domku mieszkał pan Tobiasz i rzadko go kiedy opuszczał. Wstawał rano przed wschodem słońca i mówiąc poranne pacierze, zaraz do gospodarstwa wychodził, bo pańskie oko konia tuczy, jak wtedy mawiano. Sam on też bywał przy wszystkiem, przy karmieniu i pójle, przy zaprzęganiu i wyjeździe na pole. Nikt go nigdy nie widział, ażeby którego sługę uderzył, nikt go nie słyszał, aby łżył kogo; ale pilnował wszystkich i zawsze tak dopilnował, że wszystko szło jak w zegarku. Stąd jego dochody, stąd takie wielkie dostatki. On zawsze pierwszy zasiał, on pierwszy zebrał i schował. Schował dobrze i dobrze omłócił, więc też i sprzedał najłatwiej. Nigdy sprzedawać nie potrzebował, więc zawsze sprzedał najdrożej. A przytem, jak miękkim był dla nieszczęścia, tak znowu twardym był w interesach. Nie od niego-to było coś za bezcen wyłudzić i nie jego unudzić, a łakome żydki musieli się nieraz dobrze natańcować około niego, nim targu dobili. Nie łatwym też był do pożyczania pieniędzy. Darmo dał, ale pożyczać nie lubiał, a kogokolwiek miał za stratnego, temu nigdy nie pożyczył, a wtedy mówił: — Darowizny nie przyjmiesz, bez prowizyi ci nie dam a dawać na prowizyę, to grzech. — I nie dał. Stąd lekkoduchy nazywali go dusigroszem. On nim nie był. A jeśli był: to kto w takie uczciwe sposoby wydusza grosz i wydusza go na to, aby się nim dzielił z ubóstwem, tego postawić wysoko i błogosławić, ażeby żył jak najdłużej i był wzorem dla wszystkich.

Od chwili pierwszego rozbioru Polski a razem i śmierci swej żony, co prawie na jedną dobę wypadło, pan Tobiasz się znacznie odmienił. Posmutniał bardzo, zgarbił się jeszcze więcej, przycichł, ba! nawet już prawie umilkł zupełnie, i odtąd już ani krokiem nie wychylał się z domu. Słudzy opowiadali o nim, że bardzo wiele się modli, a czasem zasuwa się w kącik samotny i płacze. Biedny, poczciwy Tobiasz! Miękkie to serce krwawiło się wtedy w boleści. Byłoby może umarło.... Wszakże miało choć jakąkolwiek około siebie pociechę. Skarbnik miał dzieci i dobre dzieci: jednego syna, który się chował we Lwowie i bardzo się pięknie prowadził, i trzy córeczki, z których najstarsza Salusia miała już lat dziewiętnaście a może nawet dwadzieścia.

Salusia była bardzo piękna. Szczuplutka i dosyć smukła, miała włos ciemny, oczy szafirowe, nosek równiutki a płeć tak delikatną, że na niej było znać wszystkie żyłki niebieskie. Na pierwszy rzut oka miała coś w sobie jakby spazmatycznego; lecz była zdrową, usta miała jak wiśnie, ząbki jak perły, spojrzenie jasne, tylko cokolwiek melancholiczne. Salusia była bardzo dobra. Od najmłodszego dziecięctwa swego była oblubienicą całego dworu, potem najskrzętniejszą opiekunką szpitalu, dzisiaj się stała aniołem-stróżem całej tej licznej rodziny. Do niej się udawały wszystkie instancye, przez nią zanosiły się prośby, z jej rąk wychodziły wszystkie jałmużny.

Bernard znał się od dawna z panem Tobiaszem. Jego nieboszczyk ojciec bardzo wysoko go cenił, często odwiedzał a nawet w czasach konfederacyi znaczną summę pieniędzy od niego pożyczył: *Quinquaginta sex millia flpol.* stało w xięgach oblaty na Grodowiskach, na rzecz ojca Salusi. Na owym fatalnym obiedzie u Kasztelana Skarbnik nie był, ale na pogrzeb jego przyjechał. Odprowadził ze czcią zwłoki jego do grobu a po pogrzebie wziął Bernarda do siebie. Tam go pocieszał i examinował o interesa i zamysły na przyszłość, a wyrozumiawszy stan rzeczy, radził pilnowanie zagona i ofiarował pomoc w potrzebie. Podziękował mu Bernard serdecznie, ale pomocy nie przyjął. Widział przytem Salusię, ale nic w niej nie widział: był jeszcze cały we łzach po śmierci ojca. Potem podróżował cokolwiek: a kiedy do domu powrócił, to gospodarstwa pilnował i nigdzie się nie wyruszał. Dopiero po obrobionej wiośnie, przy której nie raz sam sto pięćdziesięcioma pługami jakby jaką dywizyą komenderował, z nadejściem św. Jana, zwykłego terminu wypłat, znów do Starodziek pojechał, ażeby zawieść Skarbnikowi prowizyę. Skarbnik obaczywszy

pieniądze na stole, bardzo się zdziwił, wzbraniał się przyjąć i mówił:

— Panie bracie! masz może naglejsze potrzeby, jako to początkowy gospodarz i po takich nieszczęściach; weź to, oddasz mi później. — Ale Bernard, mający ambicyi tak podostatkiem, że mógł-by był jej jeszcze komu drugiemu udzielić, a do tego słyszawszy więcej o Skarbnika dusigroszostwie, niżeli o jego dobroczynności, — jak tylko zasłyszał słowa: „masz może naglejsze potrzeby“, — posunął ku niemu pieniądze i dodał: — Każdy dług równo jest nagły, jak skoro termin przychodzi. — Skarbnik zgarnął pieniądze i schował. Bernard się odwrócił od niego: a wtedy po raz wtóry obaczył Salusię. Piękna ta dziewczyna uderzyła go swoją pięknością; dobra ta dziewczyna podbiła go swoją dobrocią. Bernard był także pięknym i dobrym i sprawił na niej takie same wrażenie, jak ona na nim.

Kiedy Bernard powrócił do domu, nie mógł spać całą noc. Wstawszy rano, wszędzie widział Salusię. Kładąc się spać, żałował, że nie był dnia tego w Starodziękach. Ale za to pojechał nazajutrz.

Trochę spokojniej przyjęła to uczucie Salusia, bo nie wiedziała sama, czem ono było, co z niem począć i jakie mu dać nazwisko. Ale tak samo jak Bernard nie mogła sypiać po nocach, co chwila się jej zdawało, że Bernard przyjeżdża, i bardzo smutną była, gdy nie przyjechał.

Tak w kilka tygodni zawiązała się pomiędzy temi dobremi dziećmi miłość, lecz miłość szczera, serdeczna, głęboka, zakładająca fundamenty na całą wieczność.

Ale niestety! była to miłość z obu stron bez najmniejszej nadziei.

Oboje to czuli z głębokim smutkiem i wiedzieli, dlaczego tak czują. Wedle ich wiedzy nieprzebyte stały temu związkowi na drodze przeszkody. Przedewszystkiem bowiem rodzina Bernarda była cokolwiek wyniosłą, prowadziła częściej dwór pański niżeli szlachecki a nawet sam Bernard, choć w gruncie serca bardzo pokorny i skromny, już dla samego upadku swego w interesach nosił się trochę wysoko: a tymczasem pan Tobiasz był nieprzepartym prorokiem pokory i ubóstwa, panów unikał a nawet wręcz ich nie lubiał. Powtóre Bernard był obdłużonym: a pan Tobiasz o ludziach mających długi bardzo nieprzychylne wyrażał opinie. Nakoniec jeszcze Bernard był konfederatem, a pan Tobiasz i konfederatów nie lubiał, a chociaż ich zapomagał, jednak zawsze o nich powiadał: — O Boże, Boże! krwi tyle wylali, tyle dobytków zniszczyli i pociągnęli rozbiór Polski za sobą! — Pan Tobiasz, z samej miłości dla ludzi, czasem sobie dziwaczył. Ale stąd poszło, że oboje młodzi nie mieli dla siebie żadnej nadziei. I kochali się bez nadziei: najpiękniejsza to miłość na świecie!

Tymczasem wieść o tych afektach rozeszła się już była pomiędzy sąsiady. I przyjeżdżali do Bernarda nieproszeni goście i nieproszone dawali mu rady: — Panie bracie! a na co ci tego? Wapnowscy, to szlachta, ale.... i to i owo. Ożenisz się, to się nie zapomożesz, bo Wapnowski to skąpiec. A nie ożenisz się, co też jest bardzo podobnem, piękna rzecz będzie, dostać od panny Wapnowskiej rekuzę! — Bernard rozmyślał nad tem i prawie im słuszność przyznawał. Ale jeździł wciąż do Starodziek, bo nie mógł nie jeździć. — A ci sami ludzie przyjeżdżali także do pana Tobiasza i mówili jemu: — Panie bracie! słyszeliśmy że młody pan Grodowiski tentuje o twoją córkę. Zacny jest człowiek, trudno o nim co złego powiedzieć. Ale to pan, wielka w nim buta a cale konfederacka fantazya: więc i dla twojej córki tam szczęścia nie będzie i jeszcze twój grosz zapracowany tak krwawo, przepłynie przez Grodowiska pomiędzy ludzi. — Co Skarbnik o tych radach rozumiał, nie wiedzieć....

Ale Bernard o tych radach wiedział, bo coś sam z nich zasłyszał, a coś mu dopowiedziała Salusia. Więc rozpacz go obimała dwoista. Przez miłość zaniedbał się w gospodarstwie i już był prawie pewnym zabójstwa, a zabiwszy się na fortunie, trudno się miał czego innego spodziewać, jak zabójstwa w miłości. Ale powiedział sobie: — Bogdajby mnie już zabito oburącz! — I jeździł wciąż do Starodziek, chociaż już tylko na płacz i na jęki. Tak siadywali zazwyczaj oboje, spowiadając się sobie z swych bolów, i oczekując lada dzień chwili, w której ich Skarbnik w swoje nielitościwe ręce pochwyci i jako grom lipę dwoistą na dwie części rozedrze. I bardzo już na to się zanosiło. Albowiem stary nigdy nie spuszczał ich z oka. Kiedy siedzieli w bawialnej komnacie, on prędkim krokiem przechadzał się po jadalnej; kiedy rozmawiali głośno, on biegał prędko i jakby się niecierpliwił: a jak tylko troszeczkę przycichli, on zaraz stawał i widocznie ich podsłuchiwał. Czasem wpadał do ich komnaty, stawał jak posąg na progu i patrzał na nich jak w tęczę; dziwny miał wyraz twarzy natenczas a Bernardowi się zdało, jak gdyby mówił do niego: — Czego ty chcesz w moim domu? — Kiedyindziej przy kominie zasiadał, drzewek na ognisko dorzucał i patrzał na nich z pod brwi krzaczystych jak Jowisz; a jak tylko łzy w ich oczach obaczył albo usłyszał westchnienia, zaraz się zrywał i prędkim krokiem uciekał. Bernardowi się zdało, że wtedy i jemu już tylko uciekać. I dreszcz ich wtedy przechodził oboje i żegnali się zmarznięci jak lód, a Salusia mówiła: — Bądź zdrów! może już nigdy się nie obaczym.

Aż dnia jednego, siedzieli jak zwykle na kanapie oboje i głośno rozmawiali ze sobą, lecz smutno. Na to wszedł Skarbnik — a oni umilkli. On siadł przy kominie i milczał; i oni także milczeli, chociaż mieli sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Z powodu tego przymusowego milczenia boleść ścisnęła serce Salusi, westchnęła ciężko i łzy jej potoczyły się po licach. Na to zerwał się Skarbnik, przyskoczył do nich — a oni oboje struchleli. On zaś tymczasem chwycił Bernarda za rękę i Salusię za rękę, i podał je sobie nawzajem, zaczem położył obydwie ręce na ich obydwie głowy i jakby je popchnął ku sobie; ale prędko je odjął i zasłonił twarz swoją, bo mu się łzy rzuciły do oczu.

Na taki niespodziewany zwrot rzeczy Salusia ryknęła płaczem a Bernard szlochał głośno jak dziecko, i wtem oboje rzucili się ojcu do kolan. A ojciec stał nad niemi i mówił przez łzy: — Cicho dzieci, cichutko! żeby źli ludzie nie usłyszeli, że tyle jest szczęścia pomiędzy nami. — Poczem wybiegł prędko z komnaty. Ale niebawem powrócił i przyniósł ze sobą worek skórzany tak ciężki, że ledwie go mógł udźwignąć, a przy nim jakiś papier złożony we czworo. Położył to oboje na stole, otworzył papier, pokazał Bernardowi skrypt jego ojca, razem z workiem posunął ku niemu i rzekł: — Weź to, weź, i popłać długi a staraj się prędko urządzić, bo szkoda czasu. — Bernard sam nie wiedział, jak miał dziękować. — A kiedyż ślub? — zapytał Skarbnik. — Choćby i jutro, — rzekł Bernard. Jutro nie, — powiedział pan Tobiasz, — ale jak można najprędzej, żeby nam nie przeszkodzili źli ludzie. — Staruszek już wtedy często wspominał złych ludzi: musieli mu nieraz do żywego dokuczyć. Było też ich w samej rzeczy coraz więcej na świecie....

Takim postępkiem Skarbnik odbudował Bernarda materialnie, odbudował moralnie, uszczęśliwił jego, dziecko swoje i siebie na zawsze, a nad to wszystko sporządził sobie w swym zięciu wiernego przyjaciela na wieki. Dlaczegóż dziś ludzie nie postępują tak samo? — Żyjąc w wielkiej skąd innąd niedoli i znosząc cierpień bez końca od wrogów, taką szczerością, prostotą serca i wzajemną pomocą przynieśli-by sobie niezmiernie wiele osłody. Dlaczegóż się coraz bardziej oddalają od siebie, stają się sobie coraz więcej obcymi, patrzą na siebie z pod oka, wywyższają się jedni nad drugich, przysiadają się wzajem a nim kto od swego brata doświadczy jakiejkolwiek pomocy, kością w gardle mu stanie to dobrodziejstwo? — Przypatrując się temu z daleka, człowiek prostego serca nie może wyjść z zadziwienia, straszliwa obejmuje go groza, upada na kolana przed Bogiem i mówi: — O Panie! miej zlitowanie nad nimi, oni już zaprawdę nie wiedzą co czynią.—

Ślub Bernarda i Skarbnikównej odbył się na św. Katarzynę, bez wielkiego hałasu, lecz po staremu z dość licznym łaskawych gości napływem. Po ślubie ci sami sąsiedzi, którzy niedawno usiłowali to małżeństwo rozerwać, cieszyli się teraz, że doszło. I życzyli szczęścia teściowi i państwu młodym i mówili: — Będziecie bardzo szęśliwi, boście też bardzo poczciwi.— Czy mówili to ze szczerości, czyli z obłudy, Bogu tylko wiadomo. Ale państwo młodzi byli istotnie bardzo szczęśliwi. Dostawszy posag tak hojny i dany z szczerego serca, Bernard stanął od razu na nogach. Popłacał wszystkie długi co większe i co naglejsze, i jeszcze mu został grosz jakiś pod ręką do gospodarstwa niezbędnie potrzebny. Bernard umiał tego grosza użyć rostropnie, pomimo swobodnego oddechu nie zaniedbał się w pracy, a nadto jeszcze ukochana Salusia dopomagała mu dzielnie w utrzymywaniu tego wszystkiego, co on nagromadzał. Tak pracowali oboje a Pan Bóg błogosławił ich pracy. W niedługim czasie wypłaciła mu się jego żoneczka wdzięcznie za jego miłość i skrzętność, i przyniosła mu synka, a potem jedną córeczkę i drugą. Dawał Pan Bóg dzieci, dawał też i na dzieci. Bernard zaczął pomału robić fortunę. Łatwo się wtedy przychodziło do tego, prawie niechcący. Czasy o wiele się pod tym względem polepszyły: otworzyły się jakiekolwiek drogi handlowe do Niemiec, gorzałka i tuczne woły zaczęły dobrze popłacać, pszczółka i szkapka przynosiły grosz piękny, a czasem przypływały nawet czerwone złote za zboże; bo jak dziś tak i wtedy częste we Francyi, w Niemczech i Anglii bywały głody a Ameryka nie umiała ich jeszcze zasycać. Kto tedy miał jakąkolwiek wieś niezłą, nie zaniedbywał się w pracy a żył wedle swego staniku, temu sama ze siebie się pomnażała fortuna. Bernard żył sobie poczciwie, prowadził dom dosyć otwarty, zasilił w potrzebie sąsiada, nie pożałował nawet obcemu; ale też za to tem pilniej pracował a kredkę miewał zawsze w kieszeni. Tak założył bytowi swemu stateczny fundament: a jak tylko to było zrobione, już potem niewiedzieć skąd brały się rokrocznie nowe skórzane wory w żelaznej skrzyni. Jakoż w lat dziesięć był już bogatym — a w lat kilkanaście zaczął już rozmyślać o swojem bogactwie może cokolwiek więcej, niż trzeba. Człowiek niestety! jest słabym — a Bernard był najpospolitszym pod owe czasy człowiekiem. Jego nieboszczyk ojciec był jeszcze po staremu z jednej sztuki wylany, ale on już za trochę łatany, jako czas ze sobą przynosił. Jakoż nieraz, w czasach tych wielkich powodzeń, dziwne przychodziły mu myśli. Raz chciał jakieś wielkie dobra kupować, zamki budować, znaczenie swego imienia podnosić; drugi raz chciał się do Warszawy na mieszkanie wynosić, pałac tam zakupywać, bawić się i hulać wesoło: taka zabawna była wtedy Warszawa a tak smutno w Małej-polsce i Rusi czerwonej! Kiedy indziej znowu roiło mu się jechać do Wiednia, w tej stolicy zamieszkać, naprawić co ojciec zepsuł, odrzucony tytuł odzyskać lub okryć się jakimkolwiek splendorem. I Bóg sam wie tylko, jakie-by był popełnił warjactwo.... ale jeszcze to wtedy nie tak łatwo było o warjactwa, jak dzisiaj. Bernard przetrawił swą młodość rozsądnie i zacnie, a tak strawiona młodość jest silnym przeciwko wszelkiemu obłąkaniu puklerzem; oprócz tego miał przy sobie anioła-stróża kobietę, pełną rozsądku i serca, a to jest puklerz jeszcze daleko silniejszy. W skutek tego skończyło się na tem, iż Bernard za część zbytecznych pieniędzy dwie wsie zakupił, jedną na posag dla jednej córki, a drugą dla drugiej; ze swoich zaś niedorzecznych projektów tylko ten jeden wykonał, iż swego syna, któremu na chrzcie dano nowożytne imię Seweryna, wychowawszy go w domu pośród Francuzów i Niemców, z początkiem czteroletniego sejmu zawiózł do Warszawy na wychowanie. Nie było to ani bardzo roztropnie, ani dla dziecka korzystnie, zwłaszcza że go nie oddał do szkoły kadetów, tylko na pensyę prywatną, ale było to zawsze lepiej, niżeli gdyby go był zawiózł do Wiednia.

Tymczasem z tego wywinęły się ważne wypadki. Albowiem Bernard, mając tam syna, jeździł do Warszawy po dwa razy do roku a tym sposobem, nietylko że się oderwał od swoich nie zawsze rozsądnych pomysłów, ale nadto związał się na nowo rozumem i sercem z sprawami Polski. Sejm czteroletni obudził w nim bardzo żywe zajęcie, i niewiele już wtedy trzeba mu było, aby się był całkiem tutaj wyprzedał a przeniósł za Wisłę; kiedy zaś przyszło do postanowienia konstytucyi, którą później ogłoszono w dniu trzecim Maja, dawny konfederacki pułkownik uniósł się dla Stanisława Augusta tak krewkiem uczuciem wdzięczności, iż mu oddał w usługi swojego syna.

Jakoż dnia 10. Kwietnia r. p. 1791 przypuszczony jest do pocałowania ręki królewskiej a syn jego Seweryn przyjęty jako paź do antykamery. —

Niezmiernie zadowolony powrócił Bernard do domu i odtąd nie żył już niczem innem, jak tylko Warszawą. Gospodarstwo, pieniądze, dostatki, tytuły, splendory, znaczenia, wszystko to poszło w kąt: jako u Polaka być zwykło, kiedy tego wymaga ojczyzna. Powstanie konfederacyi Targowickiej ciężkim napełniło go smutkiem, a kiedy niebawem potem wojna wybuchła, wielka wstała w nim niecierpliwość. Odezwała się w nim żyłka konfederacka, chciał-by był iść, rekonfederować się po staremu i bić się. Wstrzymał się jednak, bo miał lat pięćdziesiąt, włosy już siwe, żonę i dzieci, a Polska miała armię dość liczną i nie było widać niebezpieczeństwa. Ale kiedy po wojnie zaczęto armię rozpuszczać, kiedy Madaliński, acz umieszczony na rejestrze *cessandorum*, broni nie złożył i poszedł w załebki z Prusakiem; kiedy nareszcie przerznął się ku Krakowu i do Krakowa zbiegało się wszystko co żywo: toż i on rzucił się swojej żonie do kolan, ryknął płaczem jak dziecko, ale rzekł mężnie:

— Kocham ciebie Salusiu więcej niż siebie samego.... ale jest ktoś, kogom powinien jeszcze więcej kochać od nas obojga. Zaczem bądź zdrowa i niechaj cię Bóg ma w swojej świętej opiece. — Z odwagą i siłą staropolskiej matrony zniosła pułkownikowa to postanowienie swojego męża i położywszy obydwie ręce na jego głowie, dała mu swoje błogosławieństwo. I Bernard poszedł i bił się; chociaż miał lat pięćdziesiąt, i włosy siwe i żonę kochaną i dzieci....

(*D. c. n.*)

## Piosnka z Herwegha.

Człowiek ja wolny! ani się wśpiéwam
Kiedy w grobowiec książęcy;
Pieśniami sobie chyba zdobywam
Boże powietrze, nic więcej.
Nie mam ja zamku z którego szczytów
Rozległe przejrzeć krainy,
Mieszkam jak w gnieździe ptak śród błękitów
Pieśń moja, skarb mój jedyny.

Bylebym tylko zechciał jak drudzy
Kark wolny zgiąć do pokłonu,
Kiedy od pana żołd brali słudzy,
Nie byłbym wrócił bez plonu.
Ale nie chciałem z łaski korzystać,
Choć częstem miał zaprosiny,
Wolałem sobie świstać, a świstać,
Pieśń moja, skarb mój jedyny.

Lordowi złotem sączy się beczka,
Mnie chyba wina dostarcza,
Złotem mi ranny promień słoneczka,
Mem srebrem księżyca tarcza.
Mym spadkobiercom że długo żyję
Narzekać braknie przyczyny,
Moje monety sam sobie biję,
Pieśń moja, skarb mój jedyny.

Zmrokiem do tańca śpiewam po siołach,
Przed tron się z pieśnią nie wlokę,
Po gór wyniosłych spinam się czołach,
Pałace mi za wysokie.
Inny śród pleśni, zgiełku i burzy
Niech sobie zbiera wawrzyny,
Ja lekkim listkiem bawię się róży —
Pieśń moja, skarb mój jedyny.

Do ciebie piękna kłonię me chęci,
Ku tobie życzenia biegą,
Lecz ty chcesz wstążek, ciebie strój nęci,
A ja mam służyć? Nic z tego!
Ja nie zaprzedam mojej wolności,
Wolę się wyrzec dziewczyny,
Drwiłem z pałaców, zadrwię z miłości,
Pieśń moja, skarb mój jedyny.

*Adam Pajgert.*

## Pamiątki Trębowelskie

przez

**Augusta Bielowskiego.**

(Ciąg dalszy.)

Pod koniec tego wieku był xięciem halickim i włodzimirskim zarazem Roman Mścisławicz. Gdy w bitwie pamiętnej pod Zawichostem roku 1205 z Polakami stoczonej poległ, biegł Ruryk Mścisławicz z Połowcami z Kijowa, chcąc opanować Halicz. Był on teściem Romana. Zaszło mu drogę halickie i włodzimirskie wojsko nad Seretem u Mikulina, i trwała bitwa od rana do wieczora, w której mnóstwo z obojej strony było zabitych i rannych. Haliczanie cofnęli się. Szedł za nimi Ruryk do stolicy bronionej prócz krajowców przez załogę węgierską, i nic nie dokazawszy do Kijowa powrócił.

Niebawem wezwali do siebie samiż Haliczanie synów Igora Świętosławicza poddając się im: Włodzimierz objął Halicz, Roman Dźwinogród. Nieszczęśliwa wdowa po Romanie Mścisławiczu, matka dwoch małych synków: Daniela i Wasylka, z Halicza wygnana, schroniła się we Włodzimierzu. Wysłał tam popa swego xiążę halicki, oznajmując mieszkańcom, że zburzy miasto, jeśli nie przyjmą za swego xięcia brata jego, Świętosławą Igorowicza. Byli między mieszczanami stronnicy wdowy Romanowej, ci chcieli zabić tego popa. Wstrzymali ich od tego kroku bojarowie Mstibog, Monczuk i Nicefor, tajni stronnicy Świętosława, przedkładając że nie godzi się posła zabijać; a tymczasem przeciw xiężnie i dzieciom jej lud podburzali. Położenie tych sierot było prawdziwie godne politowania. We Włodzimierzu wzrastało dla nich z każdą chwilą niebezpieczeństwo, a nie mieli dokąd uciekać. Z Polską rozpoczął był ich ojciec zaciętą wojnę i pokoju jeszcze nie zawarto. Mirosław krewny xiężnej poddał jej radę, aby nie zważając na to, uciekała do Polski. I tejże jeszcze nocy wymknęła się z Włodzimierza niepostrzeżenie najprzód sama xiężna, niebawem za nią Mirosław niosąc przed sobą młodego Daniela; a na ostatku Jerzy xiądz, i mamka maleńkiego Wasylka. Ci ostatni uciekali już jakąś dziurą z obwarowanego miasta, bo w bramach na nich czatowano. Przybyli szczęśliwie na dwór Leszka białego. Xiążę polski zapomniał o wszelkich swoich urazach i przyjął nieszczęśliwych wygnańców jak ojciec. „Zły to duch, mówił do wdowy Romana, powaśnił nas był z twym mężem.“ Było mniemanie, że Władysław laskonogi zazdroszcząc przyjaźni Leszka z Romanem podżegał między nimi nienawiść.

Ugościwszy ich na swoim dworze wysłał Leszek posła swojego, Wieńcesława łysego z Danielem młodym do króla węgierskiego, Andrzeja. Pisał on mu: Byłem w zwadzie z Romanem, a tyś jest jego druh. Przysięgaliście sobie, że który którego przeżyje, ten pamiętać będzie o dzieciach zmarłego. Owoż są one dziś wygnańcami. Ja rzucam w niepamięć moją krzywdę; ty nie zapominaj o przyjaźni. Złączmy więc teraz nasz oręż, odzyskajmy ich ojcowiznę i wprowadźmy ich do niej.

Przyjął Andrzej dobrze to poselstwo. Zatrzymał na swoim dworze Daniela, a Wasylko z matką w Polsce zostawał. Leszek krzątał się żwawo około odzyskania ich włości.

Roman tworząc sobie niegdyś coraz rozleglejsze państwo wyzuwał jednych xiążąt z ich posiadłości, innym, uleglejszym sobie, nadawał grody podrzędne. Mnóstwo było takich drobnych xiążąt na Wołyniu. W Bełzie panował Alexander Wsewołodowicz, synowiec Romana; w Czerwieniu drugi jego synowiec, Wsewołod; w Łucku Ingwar Jarosławicz, a brat jego Mścisław niemy w Peresopnicy. Wezwał Leszek Alexandra, Ingwara i Mścisława ku pomocy, połączył się z rodzonym bratem swoim Konradem i szedł zdobywać Włodzimierz, który właśnie po ucieczce ztamtąd wdowy Romanowej z dziećmi, opanował Świętosław Igorowicz. Znalazł on sobie sprzymierzeńca we Włodzimierzu xiążęciu pińskim, i wraz z nim w grodzie zamknąwszy się, gotował się do dzielnego odporu. Mieszkańcy atoli nie sprzyjali mu, i jak tylko Polacy oblegli miasto, bramy im otworzyli. Zaszło z razu nieporozumienie. Wojsko polskie natrafiwszy w mieście na zbrojne kupy drużyny Igorowicza i Włodzimierza pińskiego, nie odróżniało ich od samychże mieszkańców, rzuciło się więc na ich domy i rabowało. Skryło się ich wiele do cerkwi Bogarodzicy którą zdobyć było nie łatwo. Tymczasem nadciągnęli z resztą wojska samiż xiążęta polscy, Leszek z Konradem, i mając sobie przedstawioną sprawę całą przez Alexandra, powściągnęli dalszy rozlew krwi i sprawców rabunku ukarali. Świętosław Igorowicz i Włodzimierz xiążę piński wzięci zostali do niewoli i do Polski odprowadzeni, Alexandra osadził Leszek we Włodzimierzu, a sam do Orelska pospieszył. Przybyli do niego Brześcianie prosząc iżby im dał na xięcia, syna Romanowego, Wasylka: co też chętnie uczynił. Po niejakim czasie oddał Leszek Włodzimierz Ingwarowi którego też córkę poślubił. Atoli ten jego teść nie umiał sobie zjednać przychylności mieszkańców, a to spowodowało xięcia polskiego że znowu gród ten powierzył Alexandrowi. Gdy nakoniec wdowa Romana zaniosła przez Mirosława swoje zażalenie, że Alexander ma już za wiele włości, podczas gdy syn jej jeden tylko Brześć posiada, zaradził i temu Leszek w ten sposób, że Alexander zajął sobie pomniejsze włości: Ugrowesk, Wereszczyn, Stołpie i Komow, a Bełz odstąpił Wasylkowi.

Nie tak pomyślnie szły sprawy młodego Daniela którego wziął w opiekę swoją Andrzej węgierski. Sami Igorowicze podali sposobność odzyskania dla niego Halicza. Roman bowiem dźwinogrodzki powaśniwszy się z halickim Włodzimierzem uciekł do Węgier. Wojsko węgierskie wypędziło Włodzimierza z Halicza, który do Putywla się schronił; a osadziło w nim Romana, z największem zdziwieniem matki Daniela która spodziewała się że Andrzej syna jej osadzi w Haliczu. Mniemano że to się stało w skutek darów wielkich któremi Igorowicze tak króla węgierskiego jak i xiążąt polskich obsyłali.

Po niejakim czasie gdy w Haliczu ukazały się nowe jakieś niesnaski, posłał Andrzej wojewodę swojego, Benedykta, który Romana w łaźni kąpiącego się zchwytał i odstawił jako jeńca do Węgier; sam zaś ster rządu nad Haliczanami ująwszy, oddawał się rozpuście i największych okrucieństw się dopuszczał. Był podówczas w Haliczu niejaki Tymofej, rodem Kijowianin, wielce oczytany w xięgach i powszechnie od ludzi poważany. Ten w trafnych przysłowiach umiał ludowi wyjaśnić wszystkie niegodziwości Benedykta którego z antychrystem porównywał. Oburzeni Haliczanie wezwali do siebie Mścisława niemego z Peresopnicy, i ten podstąpił z wojskiem pod Halicz, ale nie powiodło mu się go zdobyć. Ilia Szczepanowicz,

jeden z dowcipnych bojarów halickich, zaprowadził xięcia tego na wysoką mogiłę, a gdy sobie xiążę na niej wypoczął, rzekł mu Ilia: mogiła ta zowie się Haliczyna, ona dała Haliczowi nazwisko, siedziałeś na niej xiążę, możesz więc śmiało powiedzieć żeś na Haliczu zasiadał. Kronikarz wołyński który nam te szczegóły podaje, nadmienił w tem miejscu że poźniej powie obszerniej o mogile Haliczynie i o początkach Halicza; nie dotrzymał jednak tej obietnicy; przynajmniej nic z tego nie znachodzimy w kronice jego jaka nas doszła.

W tym właśnie czasie udało się Romanowi Igorowiczowi uciec z niewoli węgierskiej. Był także wolny już i drugi brat jego, Świętosław, którego we Włodzimierzu jeńcem wziął Leszek z Konradem. Haliczanie wysłali cichaczem posłów swoich do najstarszego z nich, Włodzimierza, mówiąc: Zgrzeszyliśmy niegdyś przeciw wam, przebaczcie nam to, i uwolnijcie nas teraz od ciemięzcy Benedykta. Zebrali się więc wszyscy trzej Igorowicze, uderzyli na Halicz i zdobyli go. Benedykt uciekł do Węgier. Siadł tedy Włodzimierz w Haliczu, Roman w Dźwinogrodzie, a w Przemyślu Świętosław, synowi zaś Włodzimierza, Izasławowi, dano Trębowlę. Zdawało się że owi synowie Igora siewierskiego, pamiętnego nieszczęśliwą na Połowców wyprawą, zkorzystają z doznanych dotąd zmian losu, i będą umieli się znaleść w szczęściu które im nagle zabłysnęło. Jednakże stało się przeciwnie. Igorowicze bądź to z własnej do okrucieństw skłonności, bądź naśladując poprzednika swego, Romana Mścisławicza, który srogością i okrucieństwami rządy swoje w Haliczu rozpoczą wszy wzniósł się wkrótce do znacznej potęgi, rzucili się do środków surowości i grozy przeciw tym właśnie, którzy ich dobrowolnie na tron wezwali. Złożywszy tedy sąd na bojarów halickich kazali ich zabijać i grabić ich majątki. Zabity został Jerzy Witanowicz, Ilia Szczepanowicz i innych wielkich bojarów do 500, oprócz tych którzy uciekli. Między ostatnimi znajdował się Władysław, mąż wielkiego doświadczenia i niemałej wziętości. Był on niegdyś Igorowiczów piastunem. Jemu to głównie zawdzięczali oni, że ich po śmierci Romana na tron halicki powołano. Widząc się teraz w niebezpieczeństwie życia umknął wcześnie z dwoma innymi bojarami: Sudysławem i Filipem do Węgier. Tu znalazłszy młodego Daniela prosił wraz z towarzyszami swymi króla Andrzeja, w imieniu Haliczanów, aby go im dał na xięcia.

Skłonił się chętnie do tego Andrzej i posłał wojsko ogromne nad którem niejaki Pot był najstarszym wojewodą. Podstąpiło ono najpierw pod Przemyśl. Przemyślanie chcieli się bronić; wystąpił Władysław i tak do nich przemówił: „Za kogoż to bracia! chcecie się bić? wszak ci w których obronie, stajecie, pozabijali ojców waszych i braci, zagrabili wasze majątki, córy wasze powydawali za swoich niewolników, a władzę nad wami oddali w ręce przybyszów. I za nichże to chcecie dusze swoje wyzionąć?“ Słowa te przypomniały żywo mieszkańcom krzywdy od Igorowiczów doznane, poddali więc gród, i xięcia swego Świętosława w ręce Węgrów wydali. Ztamtąd ruszono do Dźwinogrodu. Warownia ta w owym wieku należała do najmocniejszych. Zaparłszy się w niej Roman z silną załogą, miał ku pomocy synowca swego, Izasława, xięcia trębowelskiego, który wiódł mu na odsiecz własne hufce i liczną hordę Połowców. Dźwinogrodzanie bronili się zacięcie i niepodobna było Węgrom zbliżyć się ani do twierdzy samej ani do bram obwarowanych ostrogiem. Opasali więc tylko gród i czekali na posiłki. Spieszył im na pomoc Leszek ze wszystkimi swymi sprzymierzeńcami. Szły najpierw hufce Wasylka z Bełza, z wodzami swymi Wieńcesławem tłustym, Mirosławem, Damianem i Wratysławem; następowało za nimi liczne wojsko polskie dowodzone przez Sudysława Bernatowicza, nadciągał dalej Mścisław niemy z Peresopnicy, z Włodzimierza Alexander z Wsewołodem swym bratem; nakoniec syn Ingwara wiódł hufce z Łucka, Drohobuża i Szumska. Nim jednakże nadeszły wojska te pod Dźwinogród, horda Połowców wraz z hufcami Izasława trębowelskiego ztaczała z Węgrami krwawe utarczki. Ze zwykłą sobie odwagą uderzyli Węgrzy na zastępy Połowców: Mika brodaty, jeden z wodzów węgierskich, zmierzywszy się z Tobaszem, wodzem połowieckim, ranił go najpierw pchnięciem, i wnetże łeb mu uciął. Rzucili się tłumem na Węgrów rozjuszeni Połowcy i mocno ich do rzeki wezbranej przypierali. Puścili się wpław przez rzekę Węgrzy, i z trudnością ją przepłynęli rażeni z tyłu przez Połowców z przodu zaś przez hufce Izasława. Marcel, drugi wódz węgierski, okrył się hańbą odbieżawszy swojej chorągwi, którą hufce Izasława zdobyły. Wszystko to jednak naprawione zostało za nadejściem posiłków.

Tymczasem Roman zwątpiwszy o skutecznym odporze wymknął się z Dźwinogrodu i spieszył na Ruś dla dostania posiłków. W Szumsku na moście zchwytali go Ziarnko i Czuchoma, dwaj bojarowie, i jeńcem do obozu węgierskiego pod Dźwinogród przywiedli. Natychmiast wezwano Dźwinogrodzanów aby się poddali, oznajmując im, że xiążę ich jest już zchwytany. Nie chcieli temu dać wiary. Gdy jednak przekonali się o tem naocznie, poddali się.

Podstąpiono teraz pod Halicz. Nie dosiadywał tam Włodzimierz, wiedząc jak dalece oburzonych ma na siebie mieszkańców. Uciekł; zchwytano tylko młodszego jak się zdaje, brata jego, Rościsława. Za Włodzimierzem umknął i syn jego, Izasław, z swymi hufcami; ścigano go aż w okolicę Trębowli, gdzie nad rzeczką Hnieżną usadowiwszy się, stawił dzielny odpór pogoni, która pochwyciwszy nieco koni książęcych wróciła do Halicza.

Tymczasem w oswobodzonym Haliczu przygotowywano wielką uroczystość. Haliccy i włodzimirscy bojarowie, pierwsi mając Władysława, drudzy Wieńcesława na czele, szli witać młodego Daniela, jako xięcia halickiego. W obec xiążąt sąsiednich, wojewodów i całego wojska zwycięzkiego posadzono go

w cerkwi Bogarodzicy na tron ojcowski. Pospieszyła na tę uroczystość matka Daniela. Ujrzawszy syna rzuciła się na niego z czułością macierzyńską, a wpółdziecinny Daniel nie poznał jej. Po skończonym obrzędzie i wylewach radości powszechnej, nastąpiło widowisko innego rodzaju, nie ustępujące najdzikszym jakie w dziejach ludzkich zapisano. Zabrani do niewoli trzej Igorowicze: Roman, Świętosław i Rościsław, zostawali pod strażą Węgrów i mieli być oddani królowi Andrzejowi jako jeńcy wojenni. Haliczanie pałając zemstą za okrucieństwa które na nich xiążęta ci popełniali, złożyli wodzom węgierskim wielkie dary domagając się wydania tych jeńców. Przekupieni wodzowie oddali im ich. Jak tylko mieli ich w swym ręku Haliczanie, skazali na szubienicę, i wszystkich trzech powiesili. Było to w miesiącu wrześniu roku 1212.

Nie długo cieszyła się szczęściem syna swojego matka Daniela. Mając wzgląd na wiek jego dziecinny, chciała mu ulżyć ciężaru w rządzeniu państwem i mieszała się do spraw publicznych. Nie podobało się to bojarom a szczególniej Władysławowi i kazano jej wyjechać. Rzewne było ich rozłączenie. Płakał serdecznie Daniel i nie chciał się z matką rozstawać; ona los syna w przychylności ludu upatrując tłumiła w sobie żal, i wszelkiemi sposobami nakłaniała go do pozostania w Haliczu. Postępował zwolna jej powóz a przy nim jechał konno Daniel smutny. Gdy już miasto mijano, jeden z możnych, imieniem Alexander, ciwun szumawiński, odważył się chwycić konia za cugle, dając znać że czas jest wracać. Daniel porwał za miecz i chcąc go płatnąć, konia pod nim skaleczył. Natenczas matka wyskakuje z powozu, wyrywa synowi miecz z ręki i zaklina go aby niezwłocznie do Halicza powracał. Skruszony jej prośbami usłuchał ją, a ona raz jeszcze pożegnawszy się z nim, odjechała do Bełza.

Okazawszy tyle mocy nad sobą i rozsądku pani ta, nie umiała się jednak powściągnąć w żalu swoim przyjechawszy do Bełza. Udała się ona ztamtąd do Węgier skarząc przed królem Andrzejem bojarów halickich, a szczególniej Władysława.

Krok ten był zupełnie nie polityczny i pociągnął za sobą smutne następstwa dla niejże samej i dla jej dzieci. Andrzej przybył z wojskiem swojem do Halicza. Przybyła z nim i ona, a samo już pokazanie się jej tamże jątrzyło mieszkańców i nie najlepiej dla dzieci jej uprzedzało. Przybył też do Halicza Wasylko z Bełza, Ingwar z Łucka i kilku innych xiążąt, tudzież niektórzy bojarowie włodzimirscy znani z przywiązania swojego do rodziny Romana. Złożono rodzaj sądu na bojarów halickich. Oskarzono Władysława że sam chciał rządzić i dlatego xiężnę wygnał z Halicza. Uwięziono go więc, a z nim dwoch innych bojarów znakomitszych, Sudysława i Filipa, i męczono ich różnemi sposobami. Sudysław przekupił sędziów, i puszczony został na wolność; z Filipem nie wiadomo co się stało; Władysława zakuto w łańcuchy i do Węgier powieziono. Zręczny ten i wielkich wpływów bojar miał jeszcze czas przez Jawołoda i brata jego Jaropołka skinąć na Mścisława niemego aby opanował Halicz. Jakoż xiążę ten wyruszył niezwłocznie z Peresopnicy i zajął najprzód Busk. Uciekający ztamtąd Gleb Podkowicz, Iwanko Stanisławicz i Zbisław dali znać do Halicza że Mścisław z wojskiem wielkiem nadciąga: na tę wieść Daniel z matką ucieka do Węgier, a Wasylko z piastunem swoim, Mirosławem, wraca do Bełza. Mścisław zajmuje Halicz. (*D. c. n.*)



---

## Pamiętniki Stanisława Kosmowskiego z końca XVIII wieku.

Poznań 1860.

(*Dokończenie.*)

Do historyi powstania Kościuszki Kosmowski mało nowych szczegółów podaje. O bitwie pod Racławicami mówi: „W tej walce chłopi uzbrojeni w kosy, cuda waleczności dokazywali, szli na strzał armat tak śmiało, że pierwszy z nich, imieniem Maciej wziął nieprzyjacielowi jedną armatę, drudzy naśladując go, wzięli armat kilka z okrzykiem: Niech żyje wolność i Tadeusz Kościuszko! Najwyższy naczelnik zaraz dwóch z tych chłopów zrobił oficerami na placu boju“.

W powstaniu Warszawy Kosmowski miał udział czynny. Dowodził on gwardyi mirowskiej, a ta według Seume'go najpierwsza uderzyła na rosyjski oddział, większą część ludzi w pień wycięła i dwie armaty zagwoździła. Opowiadanie tego powstania jest żywe, często nawet malownicze „Całą noc, mówi Kosmowski, cały dzień walczyło wojsko, walczył lud przeciwko sile tak ogromnej, jaka była w Warszawie; bitwa była i zaciętość z obydwóch stron nieopisana. — Widziałem przy placu Krasińskich, jak sam lud zebrany bez pomocy wojska, spostrzegłszy cztery armaty nieprzyjacielskie, z których ogień kartaczowy szkodził wiele powstańcom, uderzył z takim impetem na armaty, że w parę minut wojsko rozprószył i armaty zabrał“.

Zapał i duch poświęcenia ogarnęły wszystkie stany. „Byłem świadkiem rozczulającego widoku, opowiada Kosmowski, kiedy między gminą spostrzegłem starca w jeneralskiem mundurze, trzymającego w ręku wstęgę Orła białego, którą niósł na ratusz. Tym starcem był Tadeusz Lipski, kasztelan łęczycki, sławny z wymowy i z patryotyzmu, mający ten order jeszcze od Augusta II. Ten w mowie swej zachęcał, aby za jego przykładem każdy złożył dane sobie ozdoby, a na nowe od ojczyzny zasłużył“......

Król znajdował się w matni. Uprzednio publicznie potępił powstanie krakowskie, obwinił je nawet o zasady rówenoczesnej rewolucyi francuzkiej, a teraz, otoczony powstaniem tem samem musiał śród trwogi i przerażenia udawać, że je pochwala, musiał poniekąd do niego przystąpić. Po ustąpieniu Moskali z Warszawy „Król nasz, mówi autor, kazał nas oficerów do siebie zawołać, dziękował nam za okazane męztwo i prosił, aby jego osoby nie

odstępować, zapewniając oficerom awanse na wyższe stopnie".

Kosmowski tą obiecaną nagrodą wcale się nie uraża, owszem dodaje: „Mnie zaś podarował tabakierkę z portretem swoim, którą do dziś dnia mam, a dowiedziawszy się, że dwa konie podemną zabito, kazał mi natychmiast dwa swoje wierzchowe konie wziąść".

Kosmowski ograniczając się prawie na opowiadaniu działań wojennych, o organizacyi rządu powstańczego i o znanych zdarzeniach w stolicy zaszłych wcale nie wspomina. Nawet oblężenie Warszawy i dzielny odpór królowi pruskiemu dany, tylko pobieżnie opowiada. Zato bliższe podaje szczegóły powstania wielkopolskiego; do tegoż jednak inne źródła przyszłemu historykowi tej epoki dokładniejszego dostarczą materyału.

W maciejowickiej bitwie gwardya konna mierowska a z nią Kosmowski, według tegoż opowiadania, walecznie się biła. Inaczej twierdzi Kitowicz, który pierzchnięciu tegoż pułku a za nim całej jazdy przypisuje przegraną. Kosmowski mówi: „Kawalerya nasza pokruszyła lance, bój był na pałasze". Sam zaś zebrawszy 14 koni niedobitków tej gwardyi, pod zasłoną ciemnej nocy uszedł raniony do Warszawy. Król, któremu bitwę opowiadał, „był zdesperowany" a „kiedy mu powiedział o męztwie i śmierci niektórych, wzdychał".

Pomijamy ostateczną katastrofę powstania, wzięcie Pragi, poddanie się Warszawy samej i kapitulacyę wojska pod Radoszycami.

Wojskowi rozprószeni szukali schronienia, gdzie mogli. Podług Kosmowskiego najgorzej się z nimi obchodzono w państwie dotąd neutralnem, gdzie ich przytrzymano i na prostych żołnierzy pod karabin brano. „Tu zdawało się, dodaje on, że nieszczęśliwy Polak na całym okręgu ziemskim na prześladowanie jest skazany, i że już nie zabłyśnie nadzieja tym, którzy nie w zamiarze najazdu cudzej ziemi, nie dla korzyści z bogactw i majątków obcych ziomków, lecz dla obrony swej ojczyzny podnieśli oręż i krwi własnej nie szczędzili".

Nastąpił rozbiór trzeci.

Tymczasem kilku mężów duchanie ugiętego utworzyli za pomocą rządu francuzkiego na ziemi obcej i w obcej służbie zawiązek wojska narodowego, które wzrastając z czasem w liczbę, miało zdobyć ojczyznę, której obronić nie można było; ci zaś, co pozostali w kraju niecierpliwie wyglądali chwili, kiedy legiony polskie połączą się ze zwycięzkiemi wojskami Bonapartego i na przebój przyjdą oswobodzić ojczyznę. Wchodzili z niemi w stosunki, ułatwiali wychodztwo.

Po upadku powstania znaczna liczba wojskowych polskich schroniła się na Wołoszczyznę. Zawiązawszy tam konfederacyą, ogłosili marszałkiem przybyłego z Paryża młodego jenerała Ksawerego Dąbrowskiego. Zrazu był duch wielki, nadzieja niezachwiana. Rząd francuzki a za nim turecki popierał ich plany. Do nich przedarł się także Kosmowski za pomocą tajnych związków w Krakowie i we Lwowie istniejących. Dąbrowski przyjął go uprzejmie a choć był młody wiekiem, bo „zaledwie wąsa dostawał", potrafił wyższością wykształcenia i odwagą osobistą ująć sobie serca starszych podwładnych a mianowicie Kosmowskiego. Wszak po upadku powstania Ksawery Dąbrowski ostatni, bo do miesiąca Grudnia trzymał się w Wielkopolsce.

Gdyż korespondencyi pisemnej ani z Paryżem ani z Stambułem konfederacya prowadzić nie mogła, wysłała więc ludzi odważnych i zaufanych, Kosmowskiego do Konstantynopola, Tremę do Paryża.

Kosmowski według opowiadania własnego zręcznie się wywiązał z danego mu zlecenia. Poseł francuzki, jenerał Aubert du Bayet dał Dąbrowskiemu zupełną moc wejścia w układy z niezawisłym prawie paszą Widdynia i przyrzekł, że wyrobi dla wojska broń i konie.

W Konstantynopolu spotkał się Kosmowski z Michałem Ogińskim, którego pamiętniki były dotychczas jedynem źródłem do historyi ruchu na Wołoszczyźnie. Ogiński potępia plany wychodźców jako niedorzeczne i co do środków zbrodnicze, a Dąbrowskiego samego jako awanturnika; obwinia go nawet o niedorzeczną wyprawę Deniski.

W pamiętnikach Kosmowskiego w rzeczy samej nie wyczytaliśmy planu jasno określonego tego powstania, wyprawa zamierzona ma przeto istotnie pozór awantury, a skutek ostateczny i zwątpienie przewodzców samych zdają się potwierdzić surowy sąd Ogińskiego: pomnijmy jednak, że złudne obietnice rządu francuzkiego, tworzenie się legionów, zwycięztwa Bonapartego, protekcya Turcyi i związki tajne w kraju zawsze siebie i innych łudzące, mogły w oczach powstańców nadać zamiarom ich doniosłość planu dobrze w celu i środkach obmyślonego, że nareszcie to, co nam się zdaje być zwątpieniem o sobie, nastąpiło dopiero po zawarciu pokoju w Campo Formio i po wstąpieniu na tron Pawła I, które cały kraj nową napełniło nadzieją.

Co się zaś tyczy szalonego napadu Deniski na kordon austryacki, Kosmowski przeciwnie przypisuje go namowom Ogińskiego, co podług uwagi wydawcy Kosmowskiego miałoby za sobą jakąś faktyczną podstawę. „W całej tej sprawie, dodaje tenże wydawca, trudno być sędzią. Duch partyi tak z jednej jak z drugiej strony tyle nasuwa wątpliwości, że dzisiaj chcąc bezstronnie szukać prawdy faktu, należć go niepodobna".

Szczegóły pobytu Dąbrowskiego u paszy Widdynia Paswan Oglu są ciekawe; żałujemy, że dla braku miejsca takowych podać nie możemy.

Przyjazd Ogińskiego do Jass, wywołał nieprzyjemne zajście między nim a Dąbrowskim. Ogińskiego opowiadanie znajdzie czytelnik w przypisach wydawcy pamiętników Kosmowskiego.

Nareszcie wszystko już było gotowe, kiedy przyszła wiadomość o pokoju zawartym w Campo Formio i konzul francuzki odebrał zlecenie rozpuścić konfederacyą. „Na tę wiadomość, mówi autor, Dąbrowski z rozpaczy chciał się zastrzelić, wyrwałem mu z ręki pistolet". Potem Dąbrowski wpadł w nerwową gorączkę z której zaledwie po sześciu tygodniach wyszedł.

„Gdy tak nadzieja w nas wszystkich upadła, mówi Kosmowski, konzul francuzki uwiadomił nas o śmierci Katarzyny i o wstąpieniu na tron Pawła". Za jego namową Dąbrowski „po długiem namyśleniu i naradzeniu się z oficerami, napisał list do króla Stanisława w Petersburgu,

prosząc aby ten wyjednał u imperatora „zabezpieczenie osób do powstania należących i przyjęcie ich do służby rosyjskiej“.

Czyli oprócz rozpaczliwego położenia wychodźców i zwątpienia o sobie były jeszcze jakie inne pobudki do tego kroku, rozstrzygnąć trudno.

We dwa miesiące przyszło zezwolenie od cesarza. Dąbrowski z kilkoma oficerami, do których także należał Kosmowski, wyjechał naprzód obiecując, że uwiadomi pozostałych oficerów, jeżeli prawdziwie pozyska „pardon“ dla wszystkich i względy Pawła I. „Denisce zaś, mówi Kosmowski, i Melfortowi polecił, ażeby z rozpaczy nie zrobili jakiego napadu na granice ościennych monarchów, bo zuchwały a nierozsądny postępek ściągnąłby na nas, którzy do Rosyi jedziemy, prześladowanie i t. d.“

W Petersburgu król Stanisław łaskawie przyjął przybyłych i przedstawił na posłuchaniu imperatorowi. Paweł rozmawiał długo z Dąbrowskim, kazał mu wygotować listę pozostałych na Wołoszczyźnie oficerów i przedłożyć ją sobie nazajutrz.

Po tej audyencyi król zaprosił Dąbrowskiego i Kosmowskiego do siebie na obiad, a gdy mu Kosmowski wspomniał o planie, jaki Dąbrowski przedłożyć chciał cesarzowi, ażeby formować wojsko z Polaków i ażeby imperator ogłosił się królem polskim, Stanisław wystawił Dąbrowskiemu niebezpieczeństwo na jakie się naraża, gdyż Paweł był bardzo porywczy.

Mimo to Dąbrowski na drugiem posłuchaniu „ośmielony łaskawością Pawła zapomniał o zaleceniu królewskiem i powiedział: że gdyby imperator się ogłosił królem polskim i uznał rząd francuzki dziś istniejący, to Francya byłaby mu pomocną i chętnie wzięłaby za oręż przeciw Austryi, gdyby ta zabranych krajów oddać mu nie chciała“.

„Paweł uśmiechnął się i spojrzał na obecnego temu posłuchaniu kanclerza Bezborodkę, a potem zapytał się Dąbrowskiego, o czem król polski z nim wczoraj rozmawiał, i przystąpiwszy do niego, w oczy mu patrzał. Dąbrowski trochę pomięszany, musiał mu jednak wyznać prawdę i słowo w słowo powiedział, jak mu król zalecił o tem nie gadać“.

„Cesarz uderzył go po ramieniu i powiedział: nic to nie szkodzi. Bądź u księcia Bezborodki i myśli swoje, jakie masz, podaj na piśmie; nie obawiaj się niczego, ja poznałem, że z przychylności do mnie mówisz“.

Potem Paweł mianował Dąbrowskiego jenerał-majorem kawaleryi i polecił mu aby wezwał pozostałych na Wołoszczyźnie Polaków, z zapewnieniem, że ich przyjmie do służby swojej.

To wezwanie przyszło za późno. „Niestety! mówi Kosmowski, Denisko, podburzony dawniej przez Ogińskiego przypomniał sobie jego rady, a jako człowiek nie znający świata ani ludzi, nie umiejący przewidzieć konsekwencyi, zabrał pozostałych kilkudziesiąt żołnierzy, zapewnił Melforta, godnego i umiejętnego oficera, że ma wyższe rozkazy i wszedł do kraju austryackiego. Tam od kirysierów pobity utracił kilkunastu ludzi, kilku oficerów dostało się w niewolę, między którymi był Melfort, który przez rząd austryacki jako najezdnik osądzony i powieszony został. Denisko z kilkoma oficerami uciekł na Wołoszczyznę“.

Cesarz Paweł na to mocno się rozgniewał, mimo to „Dąbrowski za pośrednictwem księcia Bezborodki wyjednał pardon dla Deniski“ którego, jak pisze Ogiński, cesarz łaskawie przyjął i majątkiem kilkaset dusz wynoszącym udarował.

Plan przez Dąbrowskiego księciu Bezborodce podany, rozwija tylko to, co tenże imperatorowi już ustnie przedłożył. Wojsko polskie tworzyć się mające miało się składać „z Polaków tak oficerów jak żołnierzy, którzy ubrani być powinni w polskie mundury zachowując polskie orły i być pod komendą polskich jenerałów“. Dodany punkt aliansu stałego z Francyą, zerwania z Anglią i zawojowania Indyów, mieścił w sobie pomysły samego Pawła, dla tego zapewnie znajdują się takowe w planie Dąbrowskiego.

Cesarz czytał z upodobaniem projekt mu podany, lecz nic nie odpowiedziawszy dał dopiero w tydzień Dąbrowskiemu „zlecenie formowania polskich ułanów w Wilnie, oraz rozkaz, ażeby przez gazety uwiadomił wszystkich Polaków wojskowych o tej łasce imperatora i o amnestyi dla wszystkich Polaków tak cywilnych jak wojskowych“. Kazał mu dalej ogłosić, że imperator Paweł I staje się odtąd protektorem Polaków i że dobra emigrantom zabrane zwróci, wojskowych do służby powołuje“.

W Wilnie Dąbrowski „w ośm miesięcy zwerbował tyle ludzi, że mógł dziesięć pułków mieć w pogotowiu, a tymczasem już piętnaście szwadronów manewrowało“.

Wspomnieniem o śmierci cesarza Pawła Kosmowski zamyka opowiadanie wspomnień swoich.

Taka jest w głównych zarysach treść pamiętników Kosmowskiego. Co do szczegółów odsyłamy czytelnika do książki samej, która mimo umyślnego przemilczenia wypadków bardzo ważnych, mimo braku szczegółów w opowiadaniu innych, mimo niektórych uprzedzeń i niedokładności wiele nowych faktów wyjawia, i przyszłemu historykowi epoki Stanisławowskiej najszacowniejszego dostarczy materyału. *A. Sz.*

---

## PISMA CZASOWE POLSKIE.

Do rzędu pism czasowych wychodzących zeszytami, a przeto w większych czasu odstępach i obszerniejszych rozmiarach niż dzienniki, należy Przegląd Poznański, pismo sześciotygodniowe.

Każda tedy kraina polska ma w dziedzinie poważniejszego pismiennictwa swego przedstawiciela: Warszawa Bibliotekę warsz., Kraków Czas dodatek miesięczny, Poznań Przegląd poznański.

Redaktorem Przeglądu pozn. jest p. Stanisław Chłapowski z Szołdr; w treści pisma przeważa widocznie wpływ duchowieństwa. Pierwszy tegoroczny zeszyt Przeglądu pozn. jest prawie cały zapełniony artykułami odnoszącemi się do teologii albo spraw kościelnych.

Na czele znajdujemy rzecz „O Rozwodach“ ks. Hieronima Kajsiewicza. Jestto zbiór „nauk“ czyli kazań tego księdza z przypisami historycznemi i świadectwami z pismiennictwa kościelnego.

*

Pod napisem: Obrzędy unickie zamieszcza Przegląd pozn. pismo księdza Pawła Szymańskiego (dziekana kapit. katedry unickiej w Chełmie) do ks. Filipa Felicyana Szumborskiego Biskupa Chełmskiego „w przedmiocie projektowanej zmiany obrzędów unickich w 1836 r.“ Zawiera ta praca wykład dziejowy zmian jakim ulegały obrzędy w kościele unickim oraz wiele szczegółów do dziejów kościoła w Polsce.

Mowa ks. Aleksego Prusinowskiego w zebraniu stowarzyszeń katolickich we Freiburgu bryzgawskim powiedziana, przełożona z urzędowego sprawozdania niemieckiego, skreśla „stosunki kościoła katolickiego na wschodnich krańcach Niemiec t. j. w polskiej ojczyźnie.“ Losy kościoła katolickiego w królestwie i zabranym kraju są tu skreślone dosyć szczegółowo a szczegóły poparte dokumentami.

W zakończeniu oddaje mowca pochwały poezyi i dziennikarstwu w Polsce, iż „nie zapomniały swego chrześciańskiego pierwiastku“ i niestały się „pogańskiemi jak poezya i dziennikarstwo w Niemczech.“ Stawia za przykład ducha katolickiego: Przegląd poznański, a z poetów „Lenartowicza, Pola i Zygmunta Krasińskiego.“ — Kończy wreszcie:— „Przy tych ołtarzach, przy których święty apostoł nasz Wojciech śpiewał: Bogarodzica, przy których święty nasz królewicz spiewał: *Omni die*, śpiewać będziemy: „*Succure cadenti surgere qui curat populo*,“ tak długo, póki się nie spodoba Panu Bogu, abyśmy zaspiewać mogli pieśń zmartwychwstania: *Haec dies* i t. d.

Jedyną pracą nieteologiczną między głównemi artykułami są: księcia Stanisława Jabłonowskiego b. kapit. art. lekk. polskiej: Wspomnienia o bateryi pozycyjnej art. kon. gwar. król. pol.

Szczegółowo opisuje autor pierwsze założenie artyleryi konnej polskiej w armii napoleońskiej i dalsze jej koleje w wojnach r. 1809, 1812, 1813, 1814 a najdokładniej w r. 1830 i 1831. Opowiadanie to, chociaż ożywione, mniej zrozumiałe dla nieświadomych sztuki wojskowej, może być bardzo nauczające dla wojskowych, a nie jest obojętne dla dziejów narodowych.

Wyjmujemy kilka szczegółów obchodzących bardziej szersze koło czytających. Pierwszą kompanię tej broni (artyleryi konnej) nieznanej przedtem w wojsku polskiem założył (sztyftował) Włodzimierz Potocki w r. 1808. Byłto syn Szczęsnego naczelnika konfederacyi targowickiej.

Chcąc, mówi autor, poświęceniem i cnotą zmazać poniekąd plamę czynów ojca, porzucił on jeden z najznaczniejszych w kraju naszym majątków i oddalił się z domu, gdzie jako szczęśliwy małżonek i ojciec młodego pokolenia, z największą okazałością dni życia swego swobodnie przepędzał. On był pierwszym kapitanem tej kompanii. Roman Sołtyk utworzył drugą. Zaraz w r. 1809 odznaczyła się artylerya konna polska pod Raszynem i pod Lipskiem, gdzie całą zasługę przypisuje autor szefowi szwadronu Schwerinowi, kapitanowi Tomasz. Konarskiemu, później generałom, i podoficerowi Paduchowi. W tym to oddziale stracił późniejszy bohater. z Woli gen. Sowiński nogę pod Mozajskiem, będąc wtedy niższym oficerem (r. 1812). Pod Gdańskiem i w samym Gdańsku (1812) odznaczyli się kapitan Ign. Ledochowski (który tu nogę stracił) później w wojnie 1831 generał i gubernator Modlina; Władysław Ostrowski w r. 1831 marszałek sejmu; porucznik Chorzewski później pułkownik i dowódzca art. konnej gwar.; podporucznik Józef Bem którego późniejszej sławy nieprzeczuwano w r. 1812 i t. d.

W kampaniach r. 1812, 1813 i 1814 zostawiła armia Polska 75000 żołnierzy na polach walki o sławę Napoleona i swoje złudne nadzieje. Pięć tysięcy ludzi z 80tysięcznej armii pozostałych uwolnił Napoleon od przysięgi i oddał pod dowództwo Wincentemu Krasińskiemu. Z temi resztkami legionów uczyniła pozostała jeszcze z całej artyleryi jedna kompania „submisyą Alexandrowi I, który osobiście przysięgę odebrał i przywrócenie Polski obiecał.“

Po ukonstytuowaniu kongresowej Polski zorganizował W. ks. Konstanty wraz z całą armią i artyleryą, która też, dzięki spuściznie otrzymanej w oficerach i żołnierzach po legionach, była sposobną w r. 1830 i 1831 do zbierania wawrzynów pod Grochowem, itd. „Wspomnienia“ przerwane są w miejscu gdzie świeżo wybrany wódz Skrzynecki przysłał dla bateryi 5 krzyżów za bitwę pod Grochowem, z których jeden przyznali koledzy i żołnierze autorowi. —

Od tych wspomnień pełni jeszcze wzruszenia przejść musimy do „Zapisków podatków papiezkich wybieranych w Polsce“ wyjętych z archiwum watykańskiego. Sięgają one r. 1318 i wyjdą niebawem drukiem (zapewne w zbiorze: *Sacra Polonia*). Oprócz tych zapisków zawiera jeszcze rubryka Wiadomości bieżących w Przegl. pozn. korespondencyę i Polemikę. Polemice poświęca Przegl. pozn. bardzo znaczną część tego zeszytu. To się rozprawia z W. A. Maciejowskim (który spór od kilku lat już trwa) to znowu pod rubr. Sprawy publiczne z Dziennikiem poznańskim i Nadwiślaninem, to wreszcie nawet Kronika zdarzeń w świecie katolickim (rodzaj gazety) nieobejdzie się bez powtórzenia polemiki w pismach zagranicznych się toczącej — a wszystko o sprawę rzymską.

Przegl. pozn. odznacza się także zawsze Nekrologami. W tym zeszycie znajdujemy nekrologi Leona Szuberta, J. F. Piwarskiego, Ant. Cyprysińskiego, Karola Kremera, którym Kółko rodzinne już także cześć pośmiertną oddało. Oprócz tych jest nekrolog Rajmunda Skorzewskiego legionisty i uczonego zmarłego w W. ks. Poznańskiem, i Ignacego Badeniego zm. w Warszawie, który się odznaczył zasługami obywatelskiemi i uczonością.

Z obcych znani nam Bułharyn, Waszyngton Irwing i Macaulay znaleźli tu miejsce obok kilku mniej głośnych imion.

## Rocznice historyczne.

**28 kwietnia 1512 r. Zwycięztwo pod Wiśniowcem.**

Niespodzianym gromem śród spokoju i wesela spadło w pomienionym roku 25000 Tatarstwa na piękne ruskie kraje. Na ich drodze szybko przebieżanej rozsiadło się długie pasmo zgliszcza, a żyzna ziemia zwilgotniała krwią i łzami. Tysiące nieszczęśliwych brańców zegnano w tabor

pod Wiśniowcem, przepełniony niezliczonem mnóstwem łupiezkiej zdobyczy. Toż po całym kraju rozpostarł smutek swoje skrzydła. Ciężka trwoga zgłuszyła niedawny głos wesela spowodowanego zaślubinami i koronacyą młodej małżonki króla Zygmunta I. Troskliwy król przesłał wraz z wezwaniem do obrony własne hufce dworskie hetmanowi polnemu koronnemu Mikołajowi Lanckorońskiemu, który zebrawszy do 4000 rycerstwa, jedynym oporem stanął przeciw pogaństwu. Doświadczony wódz ten, zniosłszy pod Bilką pomniejszy oddział Tatarów, zbliżył się do kosza głównego pod Wiśniowcem. Tu udało mu się poznać sprawę i położenie nieprzyjaciół; a widząc zaufanych w bezpieczeństwo umyślił spróbować szczęścia w wstępnym boju. Odważnemu przedsięwzięciu temu zagrażała pewną zgubą potęga kilkakroć liczniejszych nieprzyjaciół, gdy niespodziewana pomoc dodała serca rycerstwu. Przyniósł ją waleczny książę Konstanty Ostrogski, h. p. l. spieszący na wieść o napadzie Tatarów z 2000 Rusinów i Litwy. Tak więc postanowiono w nocy 27 kwietnia stoczyć groźną walkę o wolność i wiarę.

Tatarstwo obciążone niezmiernemi łupami, gdyż samych jeńców liczono przeszło 16000, rozłożyło obóz o półtory mili na południe od Wiśniowca w pobliżu wsi Łopuszny. Połączone wojska polskie zbliżyły się doń 27 kwietnia na ćwierćmilową odległość z północnej strony. Wtem zaszły w szeregach walecznych dziwne poswarki i nieporozumienia. Każda część rycerstwa żądała dla siebie pierwszeństwa zaczepki, pragnęła sposobności aby piersią zasłonić braci i spólną matkę-ojczyznę. Polacy żądali pirwszeństwa jako znajomi i wyćwiczeni w kraju i za granicą wojownicy, pierwsi zawsze śmiałkowie. Gorąco odpowiadał im xiążę Konstanty z Ostroga w imieniu swych Rusinów. Nie odmawiając męztwa braciom Polakom, wskazywał im, że Rusini wychowani w zapasach z pogaństwem, obeznani z ich sposobem wojowania, stojąc w pierwszym szeregu przedmurza Europy, najskuteczniej potrafią dopełnić świętego obowiązku obrony. Szlachetne spory owe przerwało świtanie 28 kwietnia i nadciągające Tatarstwo. Szybko uszykowali wodzowie polscy nieliczne wojsko. Na prawem skrzydle stanął książę Konstanty z Rusinami i Litwą, wysunąwszy się na czoło całej linii bojowej, na lewem zaś skrzydle stanęli Polacy ustawiwszy w środku celniejsze „poczty panięce.“ Rycerski książę z Ostroga, w bechterze i szturmaku na głowie, przebiegał na wronym koniu hufce swoje, ojczystym językiem ruskim czyniąc do nich rzecze“. Ziemia nasza złupieożna, bracia w powrozach gorzkim płaczem narzekają. Toż nam porwać lśniące szable w mężne dłonie! Za mną bracia, ja was głową moją zastawię! „Jakoż pierwszy rzucił się w nacierające Tatarstwo. Mnogie zastępy pogańskie otoczyły 2000 ruskiego rycerstwa. Natarcia powtarzały się co chwila. Liczbą przemagające wrogie hufce jak wzburzone fale uderzały na garstkę murem stojących rycerzy, i rozpryskiwały się odbite. Najgroźniej uderzano na lewą stronę skrzydła książęcego, gdzie stała Litwa. Kilkakrotne natarcie osłabiło Litwinów, i omal nie zmusiło ich do odwrotu, gdy Wojciech Sampoliński i Jakób Potocki przypadłszy z częścią rycerstwa polskiego, wsparli zachwiane szeregi litewskie. Wkrótce wezwała potrzeba i resztę wojska z lewego skrzydła, gdy Tatarzy całem prawie wojskiem swojem powtórzyli wściekłe ataki. Ledwo kilkuset pogaństwa zostało na straży przy obozie, gdy reszta rozpoczęła straszliwy taniec w około sześciu niespełna tysięcy walecznych obrońców. Tymczasem nieustraszeni polscy wodzowie odpierali na czele swych hufców coraz gwałtowniejsze natarcia. Parę godzin już trwała sroga rzeź, i szczęście chwiało się po obu stronach. Najczynniejszy dzisiaj książę Konstanty z Ostroga, nie przestawał wspierać ramieniem i słowem ciśnione ogromną przemocą hufce. *»Śmiałym druhom szczastie pomahajet«* krzyknął na jeden hufiec polski. I wnet skoczył hufiec w mnogi zastęp pogański, mieczem czyniąc sobie drogę. Krwawym przebojem wypłynął wkrótce przed obóz tatarski. Nieliczna załoga pierzchła przed zwycięzkimi junakami, a więźnie ujrzeli się wnet oswobodzeni z pętów niewolniczych. I tak stanął w tyle szeregów tatarskich oddział zaciekłych obrońców wolności. Wzięci we dwa ognie Tatarzy, zaczęli pierzchać, a uchodząc mściwej ręki zwycięzców, zaniechali więźniów i drogich łupów w obozie. Rycerstwo polskie jednak nie miało dzisiaj litości dla łupiezkich zbójców. Mnogie trupy okryły szerokie błonie, a gorące modły dziękczynne wypłynęły z ust 16000 oswobodzonych brańców Tatarskich. Dziwna owa waleczność i odwaga polska zapobiegła tego dnia wielu cierpieniom, łzom i strasznej niedoli w więzach pogańskich tylu tysięcy współbraci. Strata wojska polskiego podawana przez współczesnych dziejopisów, obejmuje nader małą liczbę, ledwie kilkaset żołnierzy, gdy ze strony Tatarów samych koni dostało się Polakom 10000 w zdobyczy. A jak krwawą i zaciętą była walka owa niech okaże zwrotka naszego poety historyografa Macieja Stryjkowskiego:

„Po Łopuszańskich polach, gdzie ta bitwa była,
Ziemia się krwi pogańskiej tak bardzo napiła,
Że długo bez nawozu zbożem role płodne
Żywiły swych oraczów w one lata głodne.
I dziś tam jeszcze porząc oracz ziemię pługiem,
Dziwuje się kopijom pokruszonym długim,
Wyorywa sajdaki, strzały, włócznie rdzawe....“

*B. K.*

---

## TEATR.

Przedstawienie z 18 Kwietnia przyniosło nam dwie sztuki, z których pierwsza: „Konkurent i Mąż“ komedya w dwóch aktach J. Korzeniowskiego, osnuta na motywach psychologicznych, zajmowała nas niepomału, i należy do pomniejszych wprawdzie, ale rzeczywiście do lepszych utworów tegoż autora. Treść jej nader prosta, jak w sztuce, gdzie rzecz stoi tylko na motywach psychologicznych. — Jadwiga, panna majętna, pełnoletnia, wolna od wpływów jakiejkolwiek opieki i rady znajduje konkurenta w Erazmie Ciszyńskim. Przyjaciółka jej, hrabina Marya, która odwiedza Jadwigę, widzi niestosowność jej wyboru i tak zestawia obrazy przyszłych nowożeńców:

Ja Panu Ciszyńskiemu nie odmawiam głowy,
Ma on dużo rozumu, jest jeszcze dość młody,
Nie brzydki nawet; przytem znaczne ma dochody. —
Tyś była jedynaczką, tyś zepsute dziecię,
Otaczały cię zawsze hołdy i dostatki,
Pieszczoszką byłaś dobrej, ale słabej matki.
Biedna kobieta, która ciebie jedną miała,
Gwiazdy z nieba dla twoich zachceń zdejmowała;
Ztąd stałaś się wymyślną, ulegać nie zdolną,
Przywykła do władania, strasznie samowolną;
A choć masz serce, ale wychowanie.....
Trudno więc by pan Erazm, który słabosc zdradza
Przez to, że ci we wszystkiem za nadto dogadza,
On tak grzeczny, potulny, prawie uniżony,
Był mężem odpowiednim takiej jak ty żony.

O potrzebie autonomii domowej tak się wyraża hrabina Marya:

Polka słabą jest ciałem, ale silna duszą,
Krzyki jej nie ustraszą, kłótnie jej nie zmuszą
Ani do posłuszeństwa, ani do miłości,
Inny ją przymiot trzyma w karbach powinności,
W niezłomnej woli męża przemoc tu spoczywa
Której ona ulega. Jestto owa grzywa
Na szyi lwa, co chociaż gniewnie się nie jeży
Na wszystko, co jest słabsze, jakiś postrach szerzy.
Mężczyzna, co ten przymiot konieczny posiada,
Bez fukania panuje i bez gniewu włada. i t. d.

Na to zdanie Jadwiga znajduje gotową odpowiedź i powód do zawarcia ślubów w uspobieniach Erazma i w programie jego konkurencyi:

Kto przywykł w zupełności używać swej woli,
Do jarzma się nie nagnie, nie zniesie niewoli,
Choć bym mu nawet wrota do raju otwarła,
Z takim lwem, jak mówiłaś, za rokbym umarła.
Ja pana Ciszyńskiego właśnie zato cenię,
Że owej grzywy nie ma; że moje zachcenie
Będzie dla niego prawem; że to jest człowieczek
Niezdolny do oporu i małżeńskich sprzeczek
Coby mnie rozjątrzały. On ma napisane
Na czole: każ, a wszystko będzie wykonane,
On nie umie dać poznać, jak mu się co zdało,
I gdy ja mówię: czarno, nie mówi mi: biało;
Co ja chwalę, on chwali, gani, co ja ganię,
Każę mu siąść, to siada, chcę by wstał, to wstanie,
Gdybym kij nastawiła, przeskoczyć go gotów.

I zaraz teorye stwierdza praktyką. Erazm przychodzi z wizytą i przynosi bukiet z kamelii — nie przyjmuje go, bukiet zaś zwraca, bo chce mieć z róż nie z kamelii; przychodzi powtórnie z bukietem róż i jasminów,—każe mu czekać w przedpokoju, dodając na wstawienie się Maryi:

— Mówiłam za godzinę. Niech trochę zwycięża
Swą pychę; tak go właśnie tresuję na męża.

Nakoniec przyjętemu czyni wyrzuty za niepamięć o tem, że ona jasminów nie lubi, że w kamelie zdobi się tylko idąc na bal, że nie lubi ponsowych lecz żółte. — W rozmowie o urządzeniu domu dla przyszłej pary, Jadwiga pyta ile ma salonów. On odpowiada, że ma trzy; ona nie cierpi anfilady, i chce mieć salon od ogrodu; on twierdzi, że wszystkie trzy salony od ogrodu — ona to uważa za niedorzeczność; on chce dom przebudować i z wielkiej sieni zrobić wielki salon — ona projekt wyśmiewa; on chce sień z boku — ona szydzi — i tak opozycya *quand même* we wszystkiem, którą Jadwiga zakończa uwagą:

— Są to drobne przykrości, lecz ich massa struje
Pierwsze naszego życia najsłodsze momenta.
Kobieta jest nieznośną, jeśli niekontenta
Wtedy ślepnie na miłość i zabiegi męża,
Psuje się jej charakter, zły humor zwycięża,
Raju, o którym śniła, straciwszy nadzieje,
Zrazu dąsa się tylko; nareszcie skwaśnieje,
I znienawidzi dom ten, którego jest pani,
Kiedy mąż wszystko robi bez niej, chociaż dla niej.

Te axiomata każe mu zapisać dla pamięci w książeczkę. Erazm pełen pokory zapisuje wszystkie jej życzenia, polecenia, projekta, jest służką najpowolniejszym swej pani, a badany przez nią z daleka, jak pojmuje obowiązki i zachowanie się męża, odpowiada:

— Dobry mąż powinien być na drugim planie;
Nie wtrącać się w rząd domu, cicho się zachować,
Zbierać jakąś kollekcyą, pisać co, malować,
Aby żona w działaniu miała więcej pola. i t. d.

Po takiem ultimatum konkurent zostawszy sam w pokoju jak ów dyplomatyczny „chory człowiek“ po wizycie w paletocie, rozważa swoje położenie i stawia hamletowym głosem dylemma: „żenić się, albo nie żenić“. Następują argumenta za i przeciw. W ostatnich słyszymy wyrazy:

— Czy każda świętym ślubem krępując się wiecznie
Ma w myśli szczęście męża, kocha go serdecznie?
Czyż jedna kryjąc kolce złego charakteru
Dlatego tylko skłonność udaje naganną,
Aby mieć niewolnika, by nie zostać panną. i t. d.

I po chwili namysłu nastąpiła konkluzya: ożenić się, bo wszyscy się żenią, bo w sercu naszem napisano, że małżeństwo jest tłem, na którem błyszczą cnoty, bo — i kilka takich krasomowczych *bo*, z których w końcu wypłynęło postanowienie:

— Więc i ja puszczam wóz mój po tej drodze,
Czy się na nim utrzymam? czy dotrzymam wodze,
Któż to wie? gra to wielka i zdobycz nie mała,
W niecierpliwości, w kierunku, umiejętność cała.
Nie w posągu i wdziękach jej to runo złote,
Co mi daje odwagę, budzi mą ochotę;
Jej serce jest tem runem — a dla tej nagrody,
Ze smokiem wychowania warto pójść w zawody.

Zaiste! odważna filozofia! Ale zważmy powody. Serce Jadwigi nie wiemy dla czego jest złotem runem. Przynajmniej o miłość podejrzywać je nie można. Ciekawa rzecz co też p. Erazm sercem nazywa! Kierunek, który później ma być dany? a dwadzieścia i siedm lat? Trudna sprawa! Wychowanie — smok! Majątku? Erazm go nie potrzebuje! Jej wdzięki? także nie stawia na wielkim ołtarzu. U nas każdy konkurent pomyślałby, to propozycya Twardowskiego. Otóż innego powodu niema chyba jak nam się zdaje ten, że konkurent jest filozofem, a że według Szekspira nie masz takiego głupstwa, o któremby się nie śniło naszym filozofom, więc powyższa konkluzya urzetelniona. Tak się kończy akt pierwszy, epoka konkurencyi.

Następuje akt drugi, epoka małżeństwa. Myślałby kto, że następuje jakieś życie idyliczne, że Herkules przędzie a Omfale bawi się lwią skórą i pałką: O! zupełnie rzecz inny obrót wzięła! Oto z cukrowych tygodni trzech wyrodziła się najprzód miłość obopólna. I niechże nam kto powie, że nie masz cudów na świecie! że kobiety złe, że mężczyźni z gruntu egoiści! Ale wyrodziła się także i ciekawość: „czyteż mnie kocha mąż mój?“ — „czy też mię kocha moja żona?“ czy gotowa dla mnie poświęcić swój upór, swoje przywidzenia? czy gotów zrzec się dla mnie chęci panowania.

— Cóż robić, przekonanie przecież czegoś warte!
Żeniąc się, całe życie stawiałem na kartę.
— — godność własną winnam mieć na względzie,
Doświadczę więc mej władzy, a niech co chce będzie.

Więc próba. Od kogo też początek? Zbyteczne zapytanie.

Jadwiga (do lokaja)
Za półgodziny każesz zaprządz mi do sani
Lecz siwe konie, słyszysz?

Jan (skrobiąc się w głowę)
Słyszę proszę pani,
Tylko że Pan rozkazał....

Jadwiga (z ofuknieniem)
Moje pełń rozkazy!

Te konie już raz były ponosiły Jadwigę, i właśnie pla tego Erazm zakazał je zaprzęgać. Tymczasem podejrzywania wzajemne o udawaną miłość wzrastają. Wytacza się rozmowa o przechadzce; on lubi zimę krajową i gani tych, co spieszą za granicę, by ją tam przepędzić; ona ma zdanie przeciwne. On twierdzi, że jeźli się zdania nie zgadzają on zatrzyma swoje, a ona swoje; to obraża Jadwigę, przypisuje mu zły humor. On daje jej do zrozumienia, że tylko na to zezwoli, co zgodnem będzie z jej dobrem, o czem sąd do niego należy; to jeszcze mocniej ją obraża. Erazm, aby objaśnić rzecz, przytacza przykład państwa Konieckich, gdzie mąż jak lokaj, lata i zaprasza gości na wieczór, który żona daje, i na który zaprosiła pp. Ciszyńskich. Dodaje, że odmówił, że z tym domem zrywa zupełnie, gdyż nie chce bratać się z człowiekiem, którym każdy pomiata, jako mężem będącym pod pantoflem.

Jadwiga (z postanowieniem)
A ja jadę na wieczór.

Erazm (stanowczo)
Nie pojedziesz.

Jadwiga (powstaje z dumą)
Panie!

Erazm (spokojnie)
Dla czegoż się uzbrajasz obcym nam orężem!
Ja nie jestem twym panem; jestem twoim mężem.
Te formy mowy, które u nas nic nie znaczą
Zostaw tym, co francuskie sztuki źle tłumaczą,
My nie kaleczmy uszów swych cudzoziemczyzną,
My mówmy z sobą z serca i dobrą polszczyzną.

Jadwiga (w złości)
Ja tu serca nie widzę, widzę tylko wolę.

Sprzeczka coraz więcej wzrasta. Ona chce by wziął paszport i jechał z nią za granicę, zamiast żyć samotnie. Jako powód do podróży daje że jest chora, że w okolicy niemasz biegłego lekarza. Na to wszystko Erazm ma replikę w znanych słowach Krasickiego:

„Gdzie doktorzy? w Paryżu — gdzież indziej być mogą“
Pisał jeszcze Krasicki, który każde ale
Jakie czas ów trapiło znał tak doskonale.
Oj gdyby mu i nasze ale było znane,
Postrzegłby, że daremnie rzucał groch na ścianę,
Żeśmy tacy jak dawniej, żeśmy od tej chwili
Z głupstw się naszych na jeden włos nie wyleczyli.

I radzi, by pojechała do Mariampola, do domu co oddawna czeka gospodyni.

Jadwiga (kłania się)
Sługa pańska, nie myślę osiadać w pustyni;
Jedź tam sam, jeśli wola, a ja tu zostaję.

Erazm (siada i bierze gazetę)
Upartym czas się zwykle do namysłu daje i t. d.

Tu już opozycya wyrasta w wojnę. Lokaj wchodzi i mówi że konie zaprzężone ale gniade nie siwe „bo pan nie pozwolił“. Jadwiga każe wyprządz. Erazm daje rozkaz, aby rządca siwe konie sprzedał natychmiast. Ona: nie sprzedawać — On: sprzedać. — Ona: ja nie chce. — On (groźnie): ja każę. — Cóż naturalniejszego jak spazmy „ja umrę, słabo mi.“

Jadwiga (pada na krzesło, po chwili siada wyprostowana)
A ty mnie nie ratujesz!

Erazm (spokojnie)
Ja czytam gazety.

Wtedy płacz i żale. Ale Erazm pojął że miłość Jadwigi była istną komedyą, i kto wie czy nie powtórzył w duchu zdania szekspirowskiego!

Wtem przybywa Marya z wizytą. Tu dopiero Jadwiga skargi i żale rozwodzi, i wylicza swe krzywdy, obojętność męża: „on nie zna miłości!“ — Następuje wyborne rozwiązanie ironią, której używa Marya, ów zdrowy rozsądek w komedyi.

Marya
Jadwisiu, tyś doprawdy bardzo nieszczęśliwa.

Jadwiga
Powiedz sama, czy nie mam do żalów powodu?

Marya
Jabym na twojem miejscu poszła do rozwodu.

Jadwiga (uderzona tem pogląda na Maryą i Erazma, który się nieznacznie uśmiecha.)
Do rozwodu?

Marya
Zapewne. Czyż błahe przyczyny?
Uważno, jak cię zranił, jakie jego winy!
Ten mąż, którego kochasz, jakeś mi mówiła,
W którego miłość takeś święcie uwierzyła,
Tak się nielitościwie z tobą śmie obchodzić,
Że ci broni tych związków, co ci mogą szkodzić!
Że ci nie daje jeździć końmi, które noszą!
Że gdy głupcy kraj obcy nad swój kraj przenoszą,
On ci do tego stopnia chybia i ubliża,
Że cię wiezie do domu zamiast do Paryża!
I gdy stąd gniew i scena małżeńska powstaje
On, widząc że to upor, nie fuka, nie łaje
Lecz cierpliwy i silny nawet w złej godzinie
Śmie mieć rozum i czekać, aż burza przeminie.
Nie jest-że to tyrania i przemoc zelżywa!

Jadwiga (uśmiechając się)
Nie wiedziałam Maryniu, żeś ty tak złośliwa.

Marya
Któż z was winien?

Jadwiga (patrząc z miłością na Erazma)
O nie serce moje,
Erazmie!

I zgoda przywrócona. Jadwiga poznała, że Erazm powodowany miłością ku niej i ustaleniem szczęścia domowego przykrej podjął się próby; Erazm poznał w powrocie żony do rozsądnej myśli, i uznaniu swej winy, że miłość

w jej sercu nie jest zmyśleniem, że ją tylko narowy wychowania na chwilę zaćmiły.

Wyborny to obrazek, ze scen domowych złożony. Pełen interesu i tak zręcznie prowadzony, że utrzymuje widza w ciągłem zajęciu. Liczymy tę komedyę do najlepszych utworów dramatycznych Korzeniowskiego. Wybrydni krytycy powiedzieliby może: że miłość Jadwigi i Erazma w pierwszym akcie wcale problematyczna; że do małżeństwa więcej tu kaprys zagadkowy obopólny przyczynił się, niż skłonność; że Erazm postawił szczęście całego życia na loteryą. Prawda że wygrał, ależ to prawdopodobieństwo jednego przeciw tysiącowi; że zwrot na wygraną bardzo słabe ma za sobą motywa. Nawet owa miłość w cukrowym miesiącu wygląda jak kometa przelotna, której przyroda nie wyjaśniona, za którą jakaś groźba czycha, a epoka konkurencyi do tej obawy bardzo upoważnia. Tym i podobnym subtelnościom artystycznym odpowiadamy: że w ramkach tak szczupłych jak dwa akty, nie podobna jest autorowi umotywować wszystko słowem. Trzeba coś tylko naszkicować, coś zostawić grze artysty dramatycznego, który w mimice, w głosie znajduje środki, by podnieść, co ma być podniesione, uwydatnić, co należy. Gdzie zaś brak węzła wewnętrznego, dla szczupłych rozmiarów obrazu, wtedy całą indywidualnością przedstawioną artysta ma uwidocznić, upodobnić ów związek. Jakoż przekonaliśmy się o tem na przedstawieniu z 18 kwietnia. Artyści, mianowicie pani Aszperger i pan Kaliciński wybornie odpowiedzieli zadaniu swemu. Szczęśliwy autor, którego sztuka po raz pierwszy w takim była ręku.

Jedna tylko chwila w roli Maryi, lubo w ogólności dobrze oddanej, nie dość była uwydatniona: chwila owej ironii, którąśmy wyżej przytoczyli. Jest w niej klucz do rozwiązania sztuki, do powrotu Jadwigi na drogę rozsądną, do uznania swej winy w sposób mimowolny.

Trzeba więc by się Jadwiga sama z siebie śmiać musiała. Nic zaś tak łatwo nie sprowadza śmiechu, jak drobnostka w arcypoważnym kształcie, jak treść niedorzeczna, ubrana w słowo pełne grozy, przy którem twarz niby surowa, a serce się śmieje. I na ten moment autor położył całą siłę komicznego rozwiązania; ale ten moment w roli Maryi był tylko seryo oddany, bez owego śmiechu wewnętrznego, nieartystycznie. Głos i przycisk ironii różni się od głosu samej tylko powagi. Ztąd też wyborna gra pani Aszpergerowej i jej uśmiech mimowolny rozczarowania, owa chwila gdzie bańka mydlana jej urojeń pęka, zdawała się niedość umotywowana.

Mniej szczęśliwie powiodło się z drugą sztuką: „Pięć sióstr a jedna" Dmuszewskiego. Debiutantka, p. Łagowska, przyjęła rolę widocznie nad swoje siły, rolę, która wymaga już pewnej rutyny nabytej, a bez niej tylko bardziej wyświeca słabe strony gry. Większa rola dla początkujących w zawodzie scenicznym nie podniesie sądu o zdolnościach; owszem zniży. Nie mamy dziś nawet pojedyńczych uwag, bo summa tych wyrównywałaby całej roli. Prosimy tylko debiutantkę o wyraźne wymawianie słów polskich. Język nasz nie cierpi tych niedogłosów zamglonych, jak to się zdarza słyszeć w językach cudzoziemskich. Zresztą scena powinna być jego świątynią, równie jak szkoła; wymowę jasną, przeźroczystą, mamy za pierwszy warunek w scenicznym zawodzie. Inne role w tej sztuce mianowicie pp. Heniga, Maleszewskiego, Huberta, oddane były z prawdą i starannością. — *Stanisław Pilat.*

## Kronika literacka.

W Królewcu ogłosił jeden z uczonych niemieckich, ciekawy i bezpośrednio Polaków obchodzący artykuł: *Eine bisher unbekannte Lebensbeschreibung des heiligen Adalbert. Abdruck und kritische Einleitung von W. Giesebrecht. Königsberg 1860.* Ogłosił go w wychodzącym tamże pismie peryodycznem *Neue preussische Provinzialblätter* 3te Folge Band V. Heft I, i w osobnym odbitku, który mamy przed sobą.

Rzecz ta jakkolwiek zajmująca, nie jest jednak dla nas nowością. Jest to ta sama legenda o świętym Wojciechu, którą w roku 1856 wykrył między rękopismami biblioteki królewskiej w Monachium August Bielowski, i zdając sprawę 12 września owego roku ze swej naukowej podróży na posiedzeniu publicznem w Zakładzie nar. im. Ossolińskich, odczytał ją w wiernym polskim przekładzie. Oryginał jej z objaśnieniami krytycznemi wydrukował w Monumentach, których obecnie odbija się arkusz 20sty.

W roku 1856 nikt w Monachium nie wiedział o tej legendzie. W spisie rzeczy polskich owejże biblioteki nie wymieniono jej, i tylko szczęśliwy instynkt naszego podróżnika, który kodexy do klasztoru w Tegernsee niegdyś należące z szczególniejszą uwagą przepatrywał, naprowadził go na tę, w mnóstwo innych obszerniejszych żywotów ukrytą, passyę czyli legendę o Wojciechu. Treść jej zresztą, która mogła ujść łatwo bacności cudzoziemca, uderzyła mocniej zastanawiającego się wyłącznie nad polskiemi pomnikami. Od owego czasu poczęła ona być znajomszą tak w samem Monachium jak i indziej.

Giesebrecht rozwiódł się dość obszernie z uwagami swemi nad tym pomnikiem; zajmują one przeszło 8 kart, podczas kiedy sama legenda na dwoch tylko się mieści. Uwiadomiwszy najprzód czytelnika że w zeszłym 1859 roku Jerzy Voigt profesor w Monachium zwrócił jego uwagę na tę legendę, przechodzi do postrzeżeń krytycznych nad nią, a w nich różni się nie w jednem od wydawcy polskiego. Bielowski nie śmie twierdzić że autorem tej legendy był Polak, zdaje się mu tylko rzeczą niewątpliwą że od rodaków naszych, mianowicie od Wielkopolan, zasięgał autor swych wiadomości. Przeciwnie Giesebrecht przyznaje autorstwo jej Polakowi. Takim sposobem byłbyto najdawniejszy pomnik naszego pismiennictwa. Co do czasu z którego pochodzi ten pomnik, mniema B. że pisany był w początku wieku XI; Giesebrecht przeciwnie utrzymuje że pochodzi z wieku X i starszy jest od żywota Kanaparza (który zdaniem Pertza roku 999 był napisany) albo przynajmniej powstał z nim jednocześnie. Mniema też Giesebrecht że to jest ta sama legenda *(Passio s. Adalberti)*, na którą się powołał najstarszy kronikarz polski Galus, jako na jedyne znane sobie źródło pisemne. Zarzut, jaki staje na przeszkodzie temu twierdzeniu, mianowicie: że Galus mówi, iż w owej legendzie czytał o przyjeździe Ottona cesarza do Gniezna, a tu nie ma ani słowa o tym przyjeździe, mniema Giesebrecht usunąć tem, że w innych tej legendy exemplarzach, w Polsce przepisywanych, mógł się znajdować dodatek, którego w Tegernseeńskiej kopii nie było. I inne postrzeżenia Giesebrechta nie są bez interesu dla nas, a w ogólności rozprawa ta zaleca się zamiłowaniem przedmiotu i sumiennem jego opracowaniem; text zaś legendy prócz jednego drobnego uchybienia, wydrukowany jest według rękopismu z dyplomatyczną ścisłością.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.